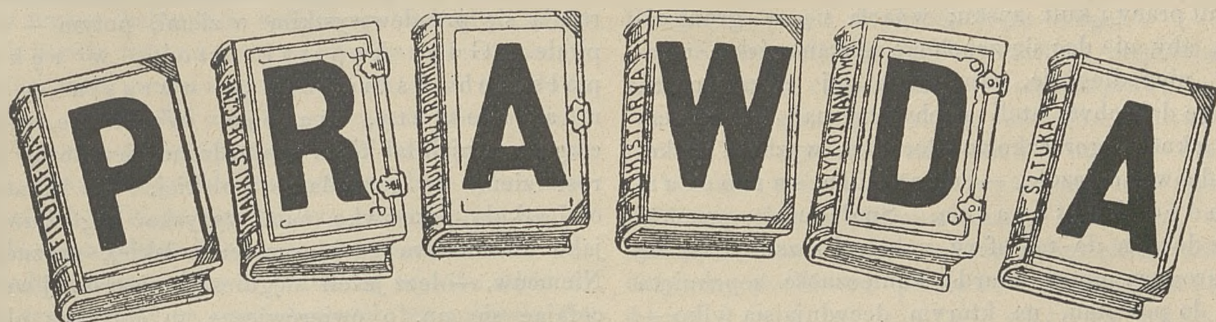
Nr 21 (1584). Warszawa, 27 maja 1911 r. **Rok XXXI**



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Redakcja i Administracja **WŁODZIMIERSKA Nr. 5. Telefon 78-80.**

POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE.

Ostatnia skiba ziemi polskiej.

Trzydniowe rozprawy w sejmie pruskim nad memorjałem komisji kolonizacyjnej odbiły się donośnym echem zarówno w *Księstwie*, jak poza jego granicami.

W ciągu trzech dni ważył się cios zbrodni, cios barbarzyństwa i przemocy nad głowami naszych rodaków, którym rząd chce wydrzeć z pod nóg szmat ziemi, będącej kolebką naszej ojczyzny.

„Spuścił krzyżak czarną przyłbicę i wywlókł z zanadrza puginał. Zada w nieokryte piersi polskiego ludu cios nieomylny. Oparł się o ziemię rolnik poznański i ku nam spogląda, nim wyda krzyk swój śmiertelny".

Atoli na razie realizacja owego aktu przemocy została odroczona; wbrew naleganiom hakaty, związanej w olbrzymią organizację „Ostmarkenvereinu", rząd przez usta ministra rolnictwa — Schorlemera zawiadomił komisję budżetową, iż wywłaszczenie nie nastąpi ani w tym, ani w przyszłym roku. Oświadczenie to jednocześnie stało się pierwszym od lat niemal dwudziestu wyrazem dezaprobaty ze strony rządu względem oszalałych w swym polakożerstwie szowinistów niemieckich. Naprożno organy hakatystów usiłowały w ciągu ostatnich tygodni „budzić czujność narodu niemieckiego" przez bezprzykładne fałszowanie różnych statystyk, a nawet straszenie widmem powstania polskiego.

Na ten raz rząd nie ustąpił. Dzięki energicznej, stanowczej postawie kanclerza, Związek marchji wschodniej, do niedawna dyktujący prawa monarchom i ministrom, znalazł się, najniespodziewaniej dla siebie, w niemiłym stanie niełaski, równającej się w danych warunkach klęsce nietylko moralnej, lecz i materjalnej.

Ta chwilowa porażka arcybractwa hakatystycznego wywołuje w świadomości polskiej jeśli nie zadatki nadziei lub otuchy, to w każdym razie — westchnienie ulgi: świadomość ta tak systematycznie i tak uparcie była jątrzona i kłóta przez szowinizm pruskich pachołków, że na widok jednodniowego choćby upokorzenia swych wrogów, nie może obronić się odruchowi satysfakcji.

Czyż mamy podkreślać to, że w dotychczasowym układzie stosunków, istotnie, miejsca niema ani dla nadziei, ani dla otuchy?

Na przypadkowym, choćby nawet ostrym i gwałtownym, konflikcie rządu z hakatą nic realnego w polityce budować nie możemy. Żywioły hakaty w gruncie są jedynie armją, pozostającą w usługach rządu i na jego żołdzie; są awangardą jego podbojów w zbrojnym pochodzie na wschód; oręż którym walczą, wszystkie prawa i ustawy wyjątkowe, przywileje dla przybyszów i upośledzenia dla tubylców, wykute zostały w kuźni rządowej. Hakatyści są może tylko żywiołem zbyt niesfornym, nadto się rwą do działania, za prędko chcą biec do celu, — i tu zapewne kryje się źródło lekkiego poważnienia z rządem, który, również nie przebiera w środkach, dążąc do wynarodowienia polaków, ale w robocie jest powolniejszy; chce działać z większą rozwagą i spokojem, by działać tym skuteczniej.

I z bólem serca, niestety, przyznać musimy, że robota jego pomału wydaje swe piekielne owoce na łanach polskiego życia. Stan rodzimego posiadania skurczył się w Wielkopolsce niemal wyłącznie do dóbr bogactwa materjalnego: dobra duchowe znikły; kultura poszła w poniewierkę.

Ojczyzna żyje tam jeszcze w pługach, w bronach,

w snopach pszenicznych, w warsztatach, w łokciu kupieckim, w narzędziach rzemieślnika, ale zamarła już w twórczym tętnie duchowego rozwoju. Wyschły źródła żywej ideologji narodu. Psyche polska żywi tam kult pracy i kult zysku; wparła się w grunt ojczysty, aby nie dać się zepchnąć ze stanowiska; utraciwszy niepodległość, zapragnęła tej niezależności, jaką daje dobrobyt; atoli pochylona nad warsztatem pracy, łaknąca gorączkowo dorobku, wyzbyła się korony ideowej na czole, — utraciła samostarczalność kulturalną. Społeczność poznańska nie dorasta do tej sfery, w której rozstrzygają się losy narodów; przez twardą konieczność zepchnięta została do poziomu, na którym decydują sią tylko — tranzakcje przedsiębiorstw.

Pustynia duchowa, jaka zalega tam na polach nauki, publicystyki, sztuki, i literatury, zmusza do emigracji wszystkie umysły żywotniejsze, podobnie jak jałowe sapy kieleckie widmem głodu wypędzają chłopów na obczyznę.

Umysłowa jałowizna wielkopolom ma w sobie coś z majestatu Sahary.

Jeden tylko egzemplarz *Przeglądu Filozoficznego* wpuszcza z Warszawy do siebie, zasypując natomiast Królestwo nieprzeliczoną plewą wydawnictw klerykalnych, ksiąg do nabożeństwa, nowenn, chorałów, pieśni dziadowskich i żywotów świętych. Niekiedy prócz edycji książkowych, wysyła do nas lub do Galicji żywe egzemplarze prepagandy, w gatunku ks. ks. Zimmermanów, Ciemniewskich i in. Książki pisane w ohydnej, okaleczałej polszczyźnie. Ludzie skostniali w rutynie dzikiej i bezmyślnej.

Mimo swej zasobności materjalnej, poznańczycy stali się Beocją polską, a raczej polskimi stali się helotami, albowiem, pochłonięci mozołem dnia powszedniego, z jego troską o kawałek chleba... z omastą, przestali brać udział w rozwoju kultury narodowej, która jest rękojmią jedyną samoistności naszej, oraz podstawą zgodności narodu z samym sobą, z samym z samym sobą, danym w doświadczeniu historycznym.

Zasoby zaś polskie w Księstwie Poznańskim wyrażają się przedewszystkim w ziemi, potym — w kapitale. Gdy kapitał atoli w rękach polskich ustawicznie wzrasta — ziemia, niestety, maleje. Wprawdzie, w przeciągu ostatnich lat kilku stwierdzono nieznaczny przyrost ziemi w gospodarce polskiej, — i hakata nie omieszkała przeciwko nam wyzyskać tego zjawiska, jako świadectwa zdobywczości polskiej, groźnej dla Niemców, — lecz jeżeli sięgniemy nieco dalej wstecz, cofając się np. o ćwierćwiecze, to dotkliwy ubytek ziemi polskiej stanie się prawdą bijącą w oczy.

Ubytek ów jest stratą poniesioną wyłącznie przez wielką własność ziemską. Drobny bowiem posiadacz, chłop, ani kawałka gruntu z rąk nie puścił. Wielka własność ziemska w Poznańskim w ręku polskich wynosi mniej więcej $^2/_5$ ogólnego obszaru większej własności. W liczbach statystyka oblicza ją na okrągłe pół miljona hektarów, t. j. dwa miljony morgów pruskich.

Jeśli zalewy komisji kolonizacyjnej wogóle poczyniły nie tak straszne spustoszenia w granicach większej własności, to zawdzięczamy to słabej zdolności kolonizacyjnej przybyszów niemieckich, napędzanych w Poznańskie rozpaloną w nich przez rząd nadzieją łatwych i szybkich zysków.

Koloniści, mający szerzyć germanizację kresów, rekrutują się przeważnie, jak wyraził się poseł p. Trąmpczyński, z „wyrzutków całego państwa Niemieckiego". Są to aferzyści, zazwyczaj wytrąceni z normalnej kolei życia, oderwani od rodzinnej chaty i wyzuci z poważnego sumiennego poczucia pracy i obowiązku. Żmudna, ciężka praca na niewydajnym zagonie mało im się uśmiecha. Wolą oni osiadać

ECHA PRAWDY.

„Reformy szkolne" p. Górskiego.

W jednym z poprzednich n-rów daliśmy na tym miejscu charakterystykę metod wychowawczych p. Wojciecha Górskiego, opartą na faktach i spostrzeżeniach przedmiotowych. Wymowniej atoli od faktów i spostrzeżeń zewnętrznych oświetlą działalność p-na Górskiego własne jego słowa, wyjęte z napisanej przezeń broszury: „Reformy szkolne" (Warszawa, 1910); oświetlą one tę działalność niejako z wewnątrz, bezpośrednim ogniem żywionych przezeń w głębi duszy przekonań.

W rozdziale: „Charakter szkoły" — po kilku uwagach zasadniczych, dotyczących ściśle katolickiego kierunku szkoły oraz obowiązkowości dopełniania przez uczni praktyk wyznaniowych, znajdujemy ustęp tej treści:

„Kontrola za pośrednictwem kartek odnośnie [1]) spełniania obowiązków religijnych do tej pory nie była praktykowana, zwierzchność bowiem szkolna... wierzy, że młodzież spełnia i spełniać nadal będzie obowiązki religijne przez potrzebę serca i zrozumienie ich głębokiego znaczenia w życiu człowieka... Gdyby kiedykolwiek zaufanie to osłabło... kontrola w tej lub innej formie okazałaby się konieczną i byłaby zaprowadzona".

W tych kilku zdaniach zawarty jest cały systemat myślenia... biurokracji rosyjskiej!

Mamy w nim przedewszystkim akt udzielenia przez *zwierzchność* pewnego zakresu wolności *podwładnym*, pod tym wszakże warunkiem, że nikt z niej korzystać się nie waży. Co więcej, wszelka chęć zrealizowania udzielonej wolności pociąga za sobą groźbę represji. Czyż to nie minjaturowa parodja konstytucji rosyjskiej?

— Będziecie, mili chłopcy, z dobrej woli odbywać spowiedź, słuchać mszy św., etc.; ja przymusem się brzydzę — zapowiada p. Górski. Chyba, żebyście z własnej dobrej woli nie chcieli tego robić. Ha!... w takim razie, rzecz prosta, przymus będzie niezbędny!

Jakie znaczenie dla umysłu i dla duszy ludzkiej mieć może automatyczne wykonywanie obrzędów religijnych, które przestały już być symbolem wiary i wyrazem uczuć, w to pobożny dyrektor naszej szkoły nie wchodzi. Dla niego organami życia religijnego w człowieku są — wargi, które szepcą litanje i ko-

[1]) „Kontrola... odnośnie spełniania": jak nieznośnie w ustach dyrektora szkoły polskiej brzmi ten szkaradny rusycyzm! Powinno być: „kontrola, dotycząca spełniania" lub „kontrola co do spełniania". (*Przyp. Red.*).

w dzielnicach przemysłowych, gdzie bez ryzyka znajdują zarobek pewny.

Na tę słabą prężność kolonizacyjną napływowego żywiołu niemieckiego z niepokojem i troską zwrócili już uwagę hakatyści, którym powodzenie „komisji" tak bardzo leży na sercu. Jednocześnie zaś ocenić musieli wprost przeciwne zalety i dążenia śród ludu polskiego. Tam głód ziemi jest wprost nienasycony. Polak lata całe gotów ponosić trud i znój, pracować ciężko, odmawiając sobie wszystkiego, byle tylko zdobyć kawałek roli i na niej założyć domowe ognisko.

Ta zasadnicza i charakterystyczna różnica pomiędzy ludnością polską a niemiecką wynika stąd, że Polak, zamieszkały na ziemi swej od lat przeszło tysiąca, ukochał ją i zrósł się z nią organicznie, gdy Niemiec jest tutaj tylko przybyszem, nie łączy go z tą ziemią ani krew ani popioły ojców, a nabywając ją, pragnie zrobić jedynie korzystny interes.

Jeżeli więc chodzi o to, by kolonizacja doprowadziła do stałego zatrzymania ludności rolnej na wsi, na kolonizatora nadaje się jedynie chłop polski, nie zaś niemiecki.

Opierając się na przesłankach powyższych, pan Boehme, uosobienie jednocześnie jadu hakaty i konsekwencji Mefistofela, żąda bezwględnego zgermanizowania chłopa polskiego, a następnie wprzęgnięcia go do pracy kolonizacyjnej. Germanizację radzi przeprowadzać nieubłaganie, bezlitośnie, całą potęgą brutalnej przemocy.

Jako środki do zupełnego zniemczenia zaleca pan Boehme zaprowadzenie wyłącznie jezyka państwowego w szkole i kościele, oraz zorganizowanie oddziaływania na lud przez ambonę i konfesjonał.

Aczkolwiek ziszczenie zamiaru tego fanatyka szowinizmu przekracza siły całej potęgi państwowej, niebezpieczeństwa lekceważyć nam niewolno. Powinniśmy być przygotowani na to, iż lada miesiąc, lada dzień, do chaty polskiej skradać się pocznie zdradziecki, przekupiony wróg w sukniach sługi bożego. Ratujmy przeto duszę ludu polskiego, póki ta dusza nie została zatruta przez nienawiść do własnej ojczyzny! Ratujmy ją przed skrytobójstwem wroga!

Niższe, wiejskie duchowieństwo, współobcujące z ludem, może równie łatwo opuścić sprawę narodową, przechylając się na stronę interesów państwowych, jak bez żalu opuścili i zaprzedali ją mnodzy dostojnicy kościoła, uchwalający podwyższenie listy cywilnej dla koronowanego patrona hakaty. A zresztą władza kościelna może przejść w ręce niemieckie, i wówczas dożyjemy chwili, że przeciw ojczyźnie budzącej się w piersi chłopa paść może piorun anatemy z przed tych samych ołtarzy, które ongi pod Lignicą synowie tej-że ojczyzny szańcem trupów własnych osłonili!

Cóż tedy czynić nam wypada?

Najwyższą, najpilniejszą potrzebą jest dla nas oddzielenie ojczyzny od religji i wyznania, oddzielenie narodu od kościoła, wydźwignięcie imienia ojczyzny ponad politykę kościoła i ponad fikcje teologji.

Precz z nałogami kompromisów, które uwodny paljatyw kupują za cenę przyszłości narodu!

Wygnanie kościoła z polityki narodowej i z kultury społecznej leży w programie postępu i demokratyzmu również w Królestwie i również w Galicji. Gdy atoli w obu tych krajach kościół gra rolę pasorzyta i balastu cywilizacji, — w Poznańskim kościół stał się — wampirem. Wessał się on pod serce lndu i grozi uduszeniem. Gdy u nas klerykalizm jest zboczeniem społecznym, tam jest on zarazą, przepalającą mózgi i serca.

Kościół, wcielając wiernych w kadry międzynarodowe, oddala, odrywa chłopa od ojczyzny. Powstrzymując jego samodzielność, zabija w nim odporność i tężyznę.

łana, na których się klęczy. Nie rozumie on, że wielbienie bóstwa usty i kolanami wówczas, gdy serce człowieka milczy i gdy uczucie jego jest nieme, bywa najokropniejszą postacią bluźnierstwa, albowiem opiera się na płaskim przypuszczeniu, że Bogu właściwa jest żądza pochlebstw, że kocha się on w pustym brzęku pochwał ludzkich.

Gdy w sercu ucznia ideał ofiary Jezusowej zaczyna chwiać się i blednie, p. Górski wówczas pokłada zaufanie w skutkach swej linji rektorskiej i z prostaczą naiwnością wierzy, że zapomocą rygoru szkolnego potrafi ową miłość dla Chrystusa wskrzesić:

— Kochaj, synu mój! Chrystusa, i módl się doń— woła on wówczas — albowiem on cię odkupił i zbawił; on za ciebie krew swą przelewał! A także winieneś kochać go i dlatego, że, inaczej, smarkaczu!— poszedłbyś do kozy!

Oto kwintesencja etyki i pedagogiki chrześcjańskiej p. Wojciecha Górskiego, ze słów jego własnych wysnuta!

25 S = 1 K.

Jest w powiecie Sieradzkim gmina Krokocice, złożona z dwudziestu wiosek, z których dwie (Łobudzice i Feliksów) są niemieckie i protestanckie, pozostałe zaś są polskie i katolickie. Każda z dwóch wiosek niemieckich ma szkołę, z językiem wykładowym niemieckim (analfabetów niemców niema), natomiast żaden z nich po polsku pisać ani czytać nie umie. Pozostałe 18 wiosek polsko-katolickich, zarazem wzięte, nie mają *ani jednej szkoły*. Projekt wybudowania przynajmniej dwóch szkół na początek, stawiany na kilku z rzędu zebraniach gminnych, za każdym razem przepadał ogromną większością głosów. Argument, którym posługują się przeciwnicy projektu, polega na tym, że w parafji, w Małyniu, odbywa się budowa kościoła. Dopóki tedy nie zostanie wybudowany gmach boży, o szkołach niema co mówić.

Gmina Krokocice może więc długo jeszcze czekać na szkoły, gdyż koszt budowy kościoła wynosi koło 50,000 rubli, a wznoszenie świątyni idzie bardzo powoli. Zwracamy uwagę, że jedna szkoła kosztuje 2.000 rb. Włościanie owej gminy zamiast jednego kościoła mogliby tedy mieć 25 szkół.

Stosunki powyższe są charakterystyczne: odnajdujemy je w całej zachodniej połaci Królestwa.

Kler, pielęgnując ciemnotę naszego ludu, staje się sprzymierzeńcem germanizacji, która ze szkołą i nauczycielem ludowym wciąż, niestety, posuwa się naprzód...

W „bezmiarze Eteru.".

P. Tadeusz Miciński w ostatnim numerze *Krytyki* wzniósł p. Tadeuszowi Nalepińskiemu *Miłości i Melancholji Świątynię.*

A na samodzielności, na tężyźnie narodowej ludu najmocniej dziś nam zależy.

Bo kiedy wielka własność się rozpadnie i stopnieje w obcym morzu posiadłości, gdy ulegnie wywłaszczeniu lub wydarciu, a oparta na niej kultura pocznie chwiać się i chylić, gdy po trzech rozdziałach ojczyzny przyjdzie czwarty, wówczas ostatnią skibę ziemi utrzyma chłop polski w spracowanych, żelaznych ręku.

Utrzyma — i dobędzie z niej cud przyszłości!

Albowiem w łonie skiby chłopskiej drzemie gmach przyszłej ojczyzny naszej, Polski nowoczesnej, którą lud ramieniem pracy dźwiga.

Włochy

(w 50-cio letnim jubileuszu pod względem politycznym i gospodarczo-społecznym).

III.

Pod względem gospodarczym widzimy we Włoszech postęp w każdej dziedzinie. W stosunku atoli do innych krajów rolnictwo stoi jeszcze znacznie wtyle. Z uwagi na warunki klimatyczne, powinno zaś ono stać na pierwszym miejscu. Złożyły się jednak na to specjalnie niepomyślne warunki, jak: brak dobrych dróg, brak urządzeń handlowych, zła polityka taryfowa na kolejach. Jednakże w każdej z tych dziedzin nastąpiło znaczne polepszenie. Obecnie np. jest już około 120 fabryk sztucznego nawozu, zatrudniających 5000 robotników. Powstało mnóstwo stowarzyszeń dla zbywania produktów rolnych, a instytucje kredytowe wyrugowały lichwę operującą zyskiem 40 — 50%.

Według statystyki rządowej z. r. 1910 Włochy nie pokrywają swego zapotrzebowania płodów rolniczych. W r. 1909 przywóz wynosił 936 mil. lir., wywóz 642 mil. lir. Wydajność produkcji, obliczając z 1 hektara, wzrosła co prawda od 1872 — 1907 r. z $10^1/_2$ kl. na 13 kl., jednakże ludność w przeciągu 1882 — 1909 r. wzrosła o 6 mil. a stopa życiowa znacznie się podniosła. Rząd dąży też do podniesienia wydajności tej gałęzi produkcji drogą premji, zakładania kultur doświadczalnych, podniesienia poziomu fachowej wiedzy wśród rolników przez wędrownych nauczycieli i urządzanie kursów rolnictwa w kasarniach.

Produkcja winogron stanowi bardzo ważną gałęź gospodarstwa krajowego. Po 1902 r. wzrosła produkcja do 48 mil. kl.

Produkcja oliwy, szczególnie w północnych i środkowych Włoszech, zatrudnia 75000 robotników, w 19,000 przedsiębiorstwach, dając rocznie $2^1/_2$ mil. podwójnych cetnarów, z czego na wywóz przypada $^1/_2$ mil. Dalej idą: produkcja konopi z wywozem 60%, wartości 100 mil. lir., ryżu, świeżych owoców. Dalej exportują Włochy olbrzymią ilość migdałów, orzechów, fig i kwiatów. Natomiast produkcja bydła nie pokrywa własnych potrzeb. Wartość importu w r. 1909 wynosiła 114 mil. lir., gdy w r. 1906 tylko 36 mil. Winę ponosi tu rząd, który niedostatecznie popiera tę gałąź produkcji. Na ten cel łoży rząd zaledwo 2 mil. lir., gdy tymczasem Prusy łożą 11 mil. marek.

Pierwsze kroki na polu wielkiego przemysłu Włoch datują się od r. 1888, z czasów wojny celnej z Francją. Brak węgla, kredytu, zaufania społeczeństwa, konkurencja zagraniczna, śruba fiskalna stanowiły ciężką zaporę dla młodego przemysłu. Włoscy kapitaliści czekali, by obcy kapitał podjął się ryzyka próbnego. Kiedy w r. 1895 Szwajcar Maraini założył pierwszą fabrykę cukru, wyśmiewano go początkowo, później pilnie przyglądano się, wreszcie zaczęto naśladować. Największą zaporę w rozwoju przemysłu, brak węgla, pokonują Włosi użyciem siły wodnej. Początki sięgają około r. 1890, a odtąd gałąź ta święci tryumf za tryumfem. Ogólna suma siły wodnej zużywanej dla przedsiębiorstw, wynosiła w styczniu 1910 r. 850,000 HP.

Kapitału dostarczyła zagranica, później przyłączył się także rodzimy. Do dziś dnia, mimo tylu trudności, postęp na polu wielkiego przemysłu jest podziwu godny. Filippo Vergili opublikował w „Nu-

---

Autor, który się sam przezywa *Szamanem*, nie powinien mieć do nas pretensji, że z ośmiu stronic białego wiersza i złotych myśli wyciągamy za łebki djamentowe ćwieki i wydłubujemy perłowe inkrustacje pod zdziwionymi oczami gawiedzi.

Oto skarby, skupione hojną dłonią Szamana na niewielkiej przestrzeni:

— Okean, Hades, Awenanti, Lari, Kalla,
Reinkarnacje, Ragnarok, Lux Aeterna, Thot,
Sziwa, Zadżumny dzwon;
Lawalrumi, Santi, Mariamna,
Grey, Pelawi, Kaliruga.
Astralna Lemurga, magowie Dżemszyda,
Heliogabal, Messalina, Graal.

. . . .

— Antyliban, Walkirye, Zulejki, Khorassan,
Templarjusze, Bafomet na czterech łapach.
Abencerragi, mujeres que tanto quiero i Herez.
Cypry, tamaryszki, hidalgi, Tammuz-Adonis i mniszki.
Julja z Kapuletu, Beatrix Cenci, Stuart królowa,
Basia Radziwiłł, egipska Rhodope, Fryne, Lukrecja [Bordżia
Lola Montez, Delormy, Lady Hamilton,
Tsiang Hoa, Walewska, Sormy, hrabianka z Lichte- [nowa,
I najcudniejsze wiedźmy z pod Kijowa!
Nanaa-Pao, Szaman, Kupało.
Eloi lico, Briarej sturęki, Malsztremu lej.
Walkirye, Normy, kry Antarktyku.
Tajfuny, kurhany, Kijomori.
Samoa, Fantazmat, Mamuta kark;
Purana Bhagawatu, mag z Ziguratu
Sąd śmierci — Ginącemu światu!

. . . .

— Wieszczka Paribanu, kapłanka z Dodony,
Hieratyczny głaz, Prometeusz,
Niflhajmru piekło w Eddzie skandynawskiej,
Oczy Wikingów, Piramida świateł,
Piekło skrzydeł, pogrążonych w lawie,
Syleny, bazalty, gleczery,
Demon na skrzydłach wampira,
Atlantyda, Hostja Życia, Maha-Bcharata
Argus, Gaurizankar, Misterjum Człowieczeństwa.
Hieroglif wiary, brama archanielska przeczuć,
Gwiezdność wszystkiego, co musi umierać.
Luczjole, kręgi Danta, pustynia Gobi,
Chrystus — brama Błędu.
Wieszcza Beatrix, Prometeicznie tworzący,
Bezmiar Eteru i kurtyzan formy.

ova Antologia" rezultaty własnej statystyki, podług której było w r. 1903 we Włoszech 117,278 przedsiębiorstw przemysłowych, zatrudniających 1,412,262 robotników. Co się tyczy poszczególnych gałęzi, przemysł górniczy dostarcza 5 mil. t. minerałów, wartości 85 mil. lir. Wartość samej produkcji siarki wynosi 41½ mil. lir. Wskutek konkurencji siarki kalifornijskiej, przebywa przemysł siarkowy Włoch od kilku lat kryzys. Wartość produkcji łomów marmurowych wynosi 44 mil. lir. Wartość produkcji metalurgicznej wzrosła od r. 1897 — 1907 z 122½ mil. lir. do 422½ mil. lir. Centrum dla tej gałęzi stanowią miasta portowe, w północnych zatokach Morza Śródziemnego od Genui do Giombino, które nie są skazane na opłacanie wysokich taryf kolejowych od węgla. Produkcja samych wyrobów stalowych wzrosła od 1907 — 1909 r. z 594,906 t. do 740,183 t. Wartość produkcji jedwabiu wzrosła w latach 1891 — 1903 z 55 mil. lir. do 100 mil. lir. Przemysł bawełniany skazany jest w zupełności na import surowego materjału. Wartość importu w latach 1900 — 1904 wynosiła 177½ mil. lir., wartość exportu gotowych fabrykatów 17,7 mil. lir.

Co się tyczy handlu, to podnieść należy, że — po długim upadku — zaczynają się Włochy znów podnosić. W r. 1887 wynosił import 1605 mil. lir. exp. 1002 mil. lir. Przewaga importu 603 mil. lir. W r. 1909 wynosił import 3112 mil. lir., export 1867 mil. Przewaga importu 1245 mil. lir. Z powodu tej przewagi importu podnieśli zwolennicy ceł ochronnych ogromny alarm, zarzucając rządowi, że nie ochrania dostatecznie przemysłu krajowego. Jednak zarzut był niesłuszny, gdyż nadwyżka ta dotyczyła przeważnie materjałów surowych i artykułów spożywczych, a więc jest to okoliczność pomyślna dla gospodarstwa społecznego.

Dziś jeszcze, wogóle mówiąc, mają Włochy za mało rozbudzoną inicjatywę prywatną handlową, brak ludziom odpowiedniego wykształcenia, brak dostatecznych funduszów dla tej gałęzi pracy.

Włosi mają zwyczaj przedstawiać własny kraj w barwach czarnych. Współzawodniczą pod tym względem mężowie stanu, którzy o ile nie są urzędnikami zawsze stoją w opozycji, z uczonymi i teoretykami. Nędza kraju i zła gospodarka to ulubłone tematy ich jeremiad. Jednakże należy przedewszystkim stwierdzić, że Włochy nie są krajem ubogim lecz owszem nawet zamożnym, a tylko skarb jest niezasobny.

Przyjrzawszy się skarbowości młodego państwa od początków, będziemy musieli ostrze krytyki zmienić na uczucie podziwu, a Lassale okaże się prawdziwym prorokiem, gdyż jeszcze w 1859 r. przepowiedział Włochom świetną przyszłość. Budżet państwowy w 1860r. wynosił 465 mil. lir. wpływów i 783 mil. rozchodu; w 1905 r. wpływ 1950 mil, rozchód 1767 mil.

Musimy się wreszcie przypatrzyć nieco polityce zagranicznej Włoch, a to przedewszystkim roli Włoch w trójprzymierzu i kwestji „irredenty". Właściwą sprawczynią trójprzymierza jest Francja. Rola Francji w Tunisie, gdzie Włochy posiadały największe wpływy, zmusiła je w 1883 r. do obejrzenia się za sprzymierzeńcami. Robilant, ówczesny minister spraw zagranicznych, starał się o zawiązanie przymierza z cesarstem niemieckim. Jednak oświadczenie Bismarka, że „droga do Berlina prowadzi przez Wiedeń" skłoniło Włochy do przyłączenia się, jako trzecie mocarstwo, do związku zawartego w 1879 r. między Austrją a Niemcami:

Popularnym ten sojusz w kraju nie był, głównie dlatego, że w grę wchodziła Austrja. W najbliższych jednak latach, z powodu naprężenia stosunków z Anglją, o kwestję Egiptu i wojny celnej z Francją, stało się trójprzymierze dla Włoch wprost konieczne. W październiku 1888 r. przybył cesarz Wilhelm do Rzymu. W 1889 r. rewizytował król Humbert cesarza w Berlinie.

W 1908 r. przyszło do naprężenia stosunków pomiędzy Austrją a Włochami, z powodu aneksji Bośni i Herzogowiny. Dołączyła się sprawa uniwersytetu włoskiego

Losy trójprzymierza ugruntował rok 1909. Trzydziestego marca przyszło do Petersburga ultimatum Bülowa. Pogróżka wojny, ze strony Niemiec, wystarczyła by zniszczyć kontrtrójprzymierze Anglji, Francji i Rosji. *Avanti* pisał: „Niemcy i Austrja pobiły Europę bez ofiar: kontrtrójprzymierze zbankrutowało".

Tak przemawia p. Tadeusz Miciński do p. Tadeusza Nalepińskiego.

Jakaż to będzie odpowiedź, o wielkie Nieba?

Święta prostota!

W tych dniach jedna z gazet żydowskich wystąpiła z ogłoszeniem tej treści:

— Słuchajcie i żyjcie! Przyjechał do Warszawy cadyk Chaim Symcha Leiner z Radzynia, autor *Wielkiej księgi lekarstw.* Kto kupi książkę, otrzyma rady przeciw wszelkim chorobom i wadom. Cena książki 50 kop. Codziennie od 12 rano do 6 pp." (poczym następuje szczegółowy adres).

Rzecz to powszechnie wiadoma, że liczna rzesza t. zw. cadyków utrzymuje się głównie z „praktyki" lekarskiej, co zwłaszcza na prowincji daje się bardzo we znaki doktorom świeckiej medycyny. Łączenie dwóch funkcji — kapłańskiej i lekarskiej — zachowało się wśród ciemnego żydowstwa jako typowy przeżytek zamierzchłych czasów, kiedy medycyna stanowiła jeszcze monopol kasty duchownej. Pod tym względem — jak i pod wielu innymi — żydzi zdradzają największy na kuli ziemskiej konserwatyzm, nie mogąc się rozstać z tradycją, która wśród narodów aryjskich należy już do przeszłości.

Wyjątek stanowią, coprawda, kraje katolickie i zacofane, gdzie leki cudowne cieszą się niemniejszym popytem, niż w ulicach *ghetta.* Tu jeszcze zauważyć trzeba, że cadyk żydowski działa zazwyczaj na własną rękę, nie należąc do korporacji urzędowego kleru żydowskiego. Nadto, lekarskie jego praktyki mają przecież odcień racjonalności, jako wytwór swoistej „wiedzy" hermetycznej, przekazywanej od lat tysięcy z pokolenia w pokolenie.

Natomiast zabobon aryjski nie może się powołać na żadną z tych okoliczności łagodzących.

Kwitnie on tuż pod murami świątyń romańskich i gotyckich, krzewiony gorliwie przez najwyższych dostojników i funkcjonarjuszy kościelnych, wreszcie rozkłuda się na szpaltach „poważnych" organów zakrystji, gdzie baczny czytelnik wykrywa takie *curiosa:*

„Na skutek licznych próśb i zapotrzebowań czytelników, Administracja nasza sprowadziła dla nich, w butelkach litrowych z oryginalną pieczęcią, wodę z Lourdes, którą chętnie służyć możemy, za zwrotem kosztów cła, przesyłki i opakowania".

Pod znakiem Jaremy.

Próżno przekładali co najprzedniejsi statyści, że lepiej Kozaczyznę różnymi ulgami ugłaskać, niżli nienawiścią i zemstą nakarmiwszy, strażą przednią Septentrjonów uczynić i na wieki z Moskwą sprzęgnąć; pan Zagłoba nie chciał słyszeć o niczym.

By zrozumieć należycie kwestję „irredenty" włoskiej, należy ją rozpatrywać ze stanowiska historycznego. Po 1815 r. tęsknota Włochów za jednością wyraziła się w formie nienawiści do ciemiężców, Austrjaków. Po 1860 r. pozostała Wenecja w ręku Austrji. To podsycało nienawiść. Wprawdzie Wenecja przeszła w 1866 r. z powrotem w ręce Włoch, jednakże wspomnienia Custozzy i Lissy nie pozwoliły zamrzeć nienawiści. W czasach późniejszych powodem rozgoryczenia było to, że cesarz austrjacki Franciszek Józef, ze względu na papieża. wzbraniał się rewizytować królów włoskich w Rzymie. Ze strony Austrji było to niekonsenkwencją, gdyż Austrja w 1870 r, jedna z pierwszych uznała Rzym za stolicę Włoch. Naprężenie doszło do szczytu w 1903 r. z powodu kwestji uniwersytetu włoskiego. Włosi pragnęli, by uniwersytet ten powstał w Tryeście. Rząd astrjacki ze względu na Słowian i generalicję, chciał ich zaspokoić fakultetem prawniczym w Insbruku.

Mimo to, sfery oficjalne dbają usilnie o utrzymajak najserdeczniejszych stosunków między Rzymem a Wiedniem.

Franciszek Dorosz.

Z wycieczki na Mazury Pruskie.

(Wrażenia, myśli, obrazy)

I.

Na północ od Królestwa Polskiego rozciąga się dość szerokim pasem kraj, może najmniej znany z całego wielkiego obszaru Polski — Mazury pruskie albo ewangielickie.

Zajmują one połać ziemi od Ostródzia i Niborku na zachodzie — jako też Olecka na wschodzie, razem do 200 mil kwadratowych mającą. W skład Mazur wchodzą obecnie następujące powiaty Prus-Wschodnich: ostródzki, niborski, szczycieński, węgoborski. janoborski, ządzborski, rastęborski, olecki, lecki, ełcki i gołdabski.

Niestety trzy z nich, mianowicie: gołdabski, węgoborski i rostemborski, są już uziemiem [1]) prawie doszczętnie niemieckim jeśli weźmiemy je jako całości terytorjalne.

Na pytanie: czy ludność polska jest tam tubylczą, pierwotną władczynią, należy odpowiedzieć przecząco.

Uczeni niemieccy hołdujący polityce wszechgermańskiej załatwili się w prosty sposób z pochodzeniem tuziemców.

Twierdzili oni, jakoby tybylcami byli giermanie, zwłaszcza szczep Estów. Dowodzić tego miała nazwa Sasinów (Sassen) którą nosiła najdalej za zachód wysunięta część Mazur (pow. ostrócki i niborski). Polacy zaś według tych „źródeł" mieli się pojawić dopiero między 15 — 17 wiekiem. Wtedy rzekomo za czasów lenna Prus Książęcych (w odróżnieniu od Królewskich czyli Zachodnich) przybyła ludność rdzennie polska (Mazowszanie).

Tymczasem prawdomówne źródła dziejowe dowodzą, iż Polacy już w połowie 15 ego stulecia stanowili przewagę liczebną w tych powiatach, w których obecnie stanowią większość. Pierwotnymi natomiast tubylcami Prus Wschodnich, a więc i obecnych Mazur, nie byli ani Polacy ani Niemcy. Tuziemczą ludnością był zaginiony dziś szczep pruski Gołędzian i Sudawitów, blizko spokrewniony z Litwinami, którzy i w dobie obecnej zamieszkują powiaty nadniemeńskie Prus Wschodnich.

Pruski szczep — Gołędzian, rozpostarł swe odwieczne siedliszcza na wschodzie do rzeki Legi, poza którą leżał kraj Jadźwingów. Ci, zajmowali obecne Polesie, granicząc z Polską, Litwą i Rusią.

Z dzisiejszych Mazur należała do Jadźwingów wschodnia część powiatu oleckiego i ełckiego. Na zachodzie Gołędź sięgała do środka wschodniej granicy powiatu nieborskiego.

Ziemia Sasinów (część powiatu niborskiego i ostródzkiego) na zachodzie przytykała do dawnej dziedziny pruskiej: ziemi chełmińskiej, lecz ta od niepamiętnych czasów była podbita przez wojowniczych Lechitów.

Między pogańskimi Prusami a chrześcijańską Polską toczyła się niegdyś zażarta walka. Nareszcie

[1]) Wyraz swojski (ludowy) równoznaczny — terytorjum

Pięściami w stół walił, że dzwoniły szklanice i z nabrzmiałymi krwią żyłami na łysinie ryczał jak tur:

— Z czernią paktować? Z hajdamakami w układy wchodzić? Z chamstwem się pospolitować? Przenigdy! Jak mnie tu mości panowie widzicie, pierwszy zerwę ugodę, choćby mi ledz przyszło u drzwi sejmowych, jak onemu Reytanowi!

Marszałek Badeni dobre to panisko, ale nazbyt dla chamów miękki, a to niebezpieczna rzecz! Pan Michał Bobrzyński ,namiestnik, jest zasłużonym statystą i polityk z niego przedni, cóż kiedy krew szlachecka widać w nim się zsiadła i przez to gotów ze wszelkim tałałajstwem się bratać.

Ale ja na to nie pozwolę, jak mi Bóg miły! To i cóż, że starosta z Chmielnicką poswywolił, z domu ją porwawszy, a Greiss coś tam przeskrobał w Żulinie? Ot, zwykłe kresowe igraszki! Ścigać ich sądownie, dochodzić, karać — a toby się dopiero czerń rozzuchwaliła!

To mamy teraz rizunom, hajdamakom pobłażać? Jeszcze czego! A kijem, a batogiem zagnać chłopów do gnoju! wnet się im polityki odechce!

A niechno sprobują cesarzowi się skarżyć we Wiedniu! Nic nie wskórają, bo jakem Onufry Zagłoba, gdyby im tam jakowe względy okazano — drugi raz pod Wiedeń z odsieczą nie pójdziem, niech go tam Turcy zbisurmanią!

Hucznym oklaskiem uczciła tę przemowę młódź endecka, ale z kąta ozwał się surowo pan Jan Skrzetuski:

— Przestałbyś tu ojciec warcholić, bo wstyd! Nie widzisz to, że o spokój, o ład się rozchodzi, o zabezpieczenie naszych granic?

Zagłoba okiem łypnął zrazu stropiony, ale wnet odzyskał kontenans i w szablę trzasnąwszy zawołał:

— Ład, spokój, zabezpieczenie za cenę hańby? Nie, mości panowie! Wolej by ta Rzeczpospolita nierządem stała, niżbyśmy mieli z hajdamakami paktować i ukraińską hołotę za równych sobie uważać! Ot co!

— Vivat Zagłoba! huknęła młódź rozgrzana, a Rzędzian, który starostwo w Żulinie dzierżawił, wskoczył na stół i nakazawszy ciszę dłonią, *Kurjer Warszawski* rozłożył.

— Mości panowie—zaczął — szanuję ja wszelki: rząd, jako od Boga nadany, ale widzi mi się, że namiestnik zbyt panom hajdamakom dogadza.

Słuchajcie, co tu napisane stoi w sprawie Żulińskiej:

„A władze udają niby, że śledzą, że badają, lecz w rzeczywistości cała sprawa jest tak prowadzona,

wszakże pogańskie Prusy doczekały się swej kolei „nawrócenia”, gdy papież nakazał przedsięwziąć wyprawę „bojownikom krzyża” przeciw pogańskim nadbałtyckim szczepom. Na ten okres przypada zdarzenie sprowadzenia na ziemicę mazurską rycerzy krzyżowych. Po otrzymaniu z rąk księcia mazowieckiego — siedziby (w r. 1228), zdążyli Krzyżacy w pół wieku podbić całe Staroprusy, a owa najobfitsza w skarby przyrodzone połać ziemi pruskiej — Gołędź, została miast nawrócenia — wyludniona.

Lecz cóż za pożytek dla najeźdźcy mógł stanowić pusty i niezaludniony obszar? — To też rychło przedsiębiorczy zakon osadził na nim bartników, rybaków, myśliwych, rolników, żywioł przeważnie polskiego pochodzenia, o czym świadczą wymownie polskie miana wsi, rzek, jezior i t. d.

Po umiejscowieniu walki z pogaństwem, zajął się spiesznie zakon osadnictwem na szerszą skalę. Wschodnie powiaty posiadły ludność wyłącznie polską. Założone zaś w r. 1560 czysto polskie miasto Olecko, dziś znajduje się na wschodniej rubieży polskości Prus Wsch. Stąd, to jest z Oleckiego, parła ludność polska na Niemców i stopniowo.. zamieszkała powiaty węgoborski i gołdabski. Giermańskie nazwy nadane przez osadników Niemców szybko ustąpiły miejsca — polskim. Niestety ta pokojowa zdobycz polskiej kolonizacji poszła w niwecz: obecnie Polacy w p. węgeborskim stanowią 6 odsetek, a gołdabskim tylko 2.

„Fuimus Troes” — możemy obecnie powiedzieć o sobie, bo dziś na tychże siedliskach naszych naddziadów — panoszy się buta pruska, „chrześcijańskiego” wprawdzie pokroju, gdy dawna pogańska ludność zginęła bezpowrotnie w pomgle dziejów...

Z wyrżnięciem pogan stracił zakon krzyżowy rację bytu jako zakon, ale zagrabionych siedzib nie ustąpił, szarpiąc coraz napastliwiej Polskę, która plemię pomorskie niebacznie na łup mu wydała.

W żywotnym interesie narodowym i ekonomicznym ludności ziem prusko-wschodnich (jak i zachodnich) leżało przyłączenie się do rosnącej w potęgę państwową Rzeczypospolitej polskiej. Cios potrzeby grunwaldzkiej nie rozstrzygnął atoli przynależenia tych dzielnic, z ludnością podówczas w olbrzymiej większości polską. Dopiero pokój toruński z roku 1466-go, mógł był tego w całości dokonać, lecz przeprowadził zaledwie połowicznie, gdyż ziemie teraźniejszych Mazur zatrzymał w posiadaniu Krzyżak na prawach lenna.

W roku 1525 król Zygmunt miast ręką potężnego władcy wcielić ziemie Prus Wschodnich, do Rzeczypospolitej zawarł szkodliwą umowę z księciem Albrechtem w Krakowie, na mocy której tenże zostaje uznanym, jako książe dziedziczny tej ziemi, skąd też powstała odtąd nazwa „Prusy Książęce”.

W wieku 17-ym Fryderyk Wilhelm brandeburski tak zwany Wielki, skorzystał z przykrego położenia Polski i uzyskał od Jana Kazimierza wzamian za chwilowe poparcie—uwolnienie od obowiązku składania królom Polski hołdu. Odtąd Hohenzollernowie pruscy rosną w potęgę. W roku 1701-ym podczas wojny północnej (za Augusta II) elektor Fryderyk przyjmuje tytuł królewski.

Odtąd oparłszy się na byłych dziedzinach krzyżackich, Hohenzollernowie jęli budować nowy ośrodek ucisku i zaborczego militaryzmu — państwo pruskie... Nie przeszkadzała im w tym waląca się ku przepaści Polska rządów szlacheckich.

Jerzy Kamieński.

BADANIA NAUKOWE.

Psychologja sekt.

Tym razem chcemy zapoznać szerszy ogół z treścią książki p. Scypiona Sighele zatytułowanej „Psychologja sekt”. Robimy to nie dlatego, że w Polsce powstał „marjawityzm” ani dlatego, że zbrodnie częstochowskie świeżej daty przed oczy szerszego ogółu, postawiły t. zw. „macochizm”. Pan Sighele przejawów tych nie zna, i z tymi przejawami się nie liczy, a wartość jego pracy nie zależy od tych wydarzeń. Wybór nasz padł na pracę pana Sighele, pomimo, że nie jest ona w literaturze naukowej „nowalją”. W wyborze tej pracy powodowaliśmy się względami poważniejszymi. Pan Sighele należy do szczupłej liczby tych uczonych, którzy nie lubią tracić bezpośredniej styczności z życiem.

---

aby się nie narazić panom ukraińcom. Więc wydala się Greissów z Żulina i utrwala pozory ich winy, bo gdyby powiedziano wyraźnie, że nie oni popełnili czyn ohydny, lecz ohyda spada na ich oszczerców i prześladowców, to mogliby się obrazić potomkowie Gonty i Żelezniaka. Więc sza! Pan namiestnik sprawuje rządy. Rusini śmieją się w kułak”.

Pan Skrzetuski powstał, z gniewu blady:

— Kto pisał te brednie?

— Kto? Jarema! — odparł Rzędzian z tryumfem i wzniósł nad głowy płachtę *Kurjera* z d. 23-go maja.

Huczek powstał niemały na te słowa. Umysły były wzburzone kampanją wyborczą, a i ze łbów dymiło się niezgorzej.

Pan Zagłoba wpadł w uniesienie radosne:

— To mi polityk, to pisarz, to kanclerska głowa. Z nim żyć i umierać! Mości panowie! Bobrzyński dość tu nam nabruździł, precz z nim! My chcemy Jaremy; ten-ci da łupnia hajdamakom! Jeśli nam Jaremy nie dadzą, jak Boga kocham, tumult w Warszawie uczynię!

— Czyś Waść oszalał? krzyknął Wołodyjowski.

— Wuj tumult uczyni! basem zagrzmiał Roch Kowalski.

— Cicho, ty koński łbie! — huknął nań Skrzetuski w pasji największej, poczym *Kurjera* z rąk Rzędziana wydarłszy, na ziemię rzucił i stopą przydeptał:

— Biada narodom, na które wpływa byle szmat bibuły zapisanej przez niesumiennych i próżnych skrybów, co z równą traktują swobodą farsy sprośnej perypetje, jak i dziejowych dramatów koleje! Bowiem, pośród dojrzałych i rozumnych nacji, sprawiać się będą nakształt niesfornych i płochych pacholąt, które oszwabi, kto zechce!

Zamilkli wszyscy, bo bardzo potężnie przemówił, aż tu zgiełk powstał przed domem niezwykły.

Zbliżał się jakowyś hufiec świetny i zbrojny. Na czele szła chorągiew Tow. Literatów i Dziennikarzy, a wiódł ją pan Władysław Jarema-Rabski, a drugą chorągiew Tow. lwowskich dziennikarzy wiódł pan Franciszek Rawita Gawroński.

Obaj mieli ręce we krwi chłopskiej unurzane, obaj odnieśli bowiem znaczne nad Rusinami przewagi, z których śmiano się w kułak nad Szprewą, Newą i Dunajem.



Dzięki temu, prace jego kipią życiem, co jest niepoślednią zaletą. Pana Sighele oprócz tego wyróżnia przejęcie się wysokim powołaniem uczonego, którego obowiązuje przedewszystkim bezinteresowne głoszenie prawdy. Dzięki temu, ma on odwagę ciskać swoim współczesnym te żywe prawdy, które uczony najmita i karjerowicz szczelnie ukrywałby pod korcem, lub, co gorsze, nawet by zwalczał. Miło nam było przy zapoznawaniu się z pracą p. Sighele stwierdzić nasze pokrewieństwo umysłowe i duchowe z człowiekiem tej miary, bo oto dowiadujemy się z radością, że p. Sighele był naszym poprzednikiem w krzewieniu wielu myśli często ujętych prawie w te same słowa, które myśmy rzucali w naszych publikacjach, nie wiedząc, że mamy tak wybitnego pomocnika i współwyznawcę.

W szeregu szkół socjologicznym pan Sighele zajmuje miejsce ściśle określone. Należy on do szkoły uczonych badaczy, którzy wywody socjologiczne usiłują oprzeć na danych psychologji. Jest to stanowisko, może nie wolne od zarzutu, jeżeli jednak „psychologję" pojmuje się właściwie i szeroko, to można się z takim stanowiskiem pogodzić. Co jednak wyróżnia pana Sighele, to to, że poszukuje on tych wywodów i tych podstaw psychicznych gromadzkiego życia, których poznanie nabiera praktycznej doniosłości dla męża stanu, polityka, historyka, sędziego i każdego kierownika nawy społecznej. Pan Sighele porusza tematy, które jeżeli nie mogą jeszcze zadawalniająco być rozstrzygniętymi to jednak mogą być inteligentnie oświetlane i wyjaśnione.

Autor na wstępie zaznacza fakt wielkiej doniosłości. Zwraca on uwagę, że dotąd nader pierwotnie, płytko i przesadnie ocenia się obłęd i zbrodnię. Miarą obłędu pozostaje zawsze jeszcze tylko idjotyzm i delirium, a zbrodni nie rozumie się inaczej, jak pod postacią gwałtownego mordu, rozlewu krwi i grabieży mienia. Kodeksy nie okazują się mądrzejszymi, zdradzają tę samą bezmyślność pospólstwa. Wyniki stąd są opłakane. Przerażająca większość zbrodni i to największych pozostaje bez kar; wymykają się one bowiem pochodzeniu sądowemu obezwładnionemu przez błędny pogląd na zbrodniczość. Również szaleństwa zbiorowe i jednostkowe bez przedsiębrania środków zapobiegawczych lub zaradczych, nie schodzą z porządku dziennego. Otóż, podczas gdy zbrodnie naiwne, narażające życie przestępcy, obliczone na zuchwałą odwagę, przytomność, zręczność i siłę zbrodniarza, poczynają przechodzić w stan zaniku — rozmnożyły się zbrodnie zuchwałe, zabezpieczone, bezodpowiedzialne i tchórzliwe, oparte na podstępie, zdradzie, chytrości i przebiegłości, drwiąc sobie ze wszelkich bezsilnych i oszukanych kodeksów zmuszonych raczej pomagać zbrodniom niżeli stawiać im tamy.

Pan Sighele stwierdzając to, wraz z szeregiem innych uczonych jak Messedaglia, Maury, Ferrero upatruje w tym powszechnym zjawisku „schyłek" panowania mieszczaństwa. Autor poszukuje wyjaśnienia psychologicznego tego smutnego nad wyraz objawu.

Tu spotykamy się z metodą poszukiwań socjologicznych autora. Zdaniem p. Sighele w nowoczesnym społeczeństwie, daje się spostrzegać szereg rozmaitych tłumów, lub skupień ludzkich, z których jedne są jednolite w swym składzie osobistym, inne nie. Do tych ostatnich należy tłum bezimienny i przypadkowy teatru, salonu, ulicy np. okolicznościowo spojony nastrojem psychicznym, wzruszeniem sądu przysięgłych itd; do pierwszych mniej więcej jednolitych tłumów należy zaliczać sekty polityczne lub religijne, kasty wojskowe lub kapłańskie, wreszcie stany mieszczańskie, robotnicze, ziemiańskie i t. p. Spójnią ujednastajniającą tych tłumów jednolitych, jest wspólna wiara, wspólny ideał, wspólny interes.

Każdy członek społeczeństwa stale lub przygodnie, jest uczestnikiem kilku z tych kategorji tłumu i zawsze psychologja jego osobowa podlega odkształceniu pod wpływem ograniczenia jej przez udzielający się nastrój otaczającego tłumu. Znać ilość i jakość ograniczenia przez tłum psychologji osobowej jego uczestników, jest to wyznaczyć psychologję społeczną. Skoro jednak psychologja dyktuje czyny, postępowanie, określa etykę, przeto wyznaczenie psychologji społecznej tym samym jest ujęciem etyki inaczej dynamiki społecznej.

Rozróżnianie wyżej wymienionych kategorji tłumu, nie jest ścisłym i wolnym od zarzutu; pomimo to bez ujmy dla praktyki można się tego podziału trzymać.

We wszystkich pomienionych wypadkach tłumnego działania uwydatnia się zawsze jeden i ten sam znamienny rys, jakim jest ograniczenie jednostki przez zbiorowość. Ograniczenie to zazwyczaj bywa ujemnem, to znaczy, że umysłowość i moralność jednostki podlega obniżeniu w zespole. Zbiorowość usiłuje z wyżyn ściągać do poziomu swej przeciętności z nią ujednostajnić duchowość uczestnika i tejże wszystko podporządkować. Zbiorowość pożąda ślepej uległości od swego uczestnika. Ludzie skupieni są popędliwsi, niż odosobnieni. Częściej niż w innych wypadkach powstają u ludzi skupionych instynkty atawistyczne, brutalne i krwiożercze. Wreszcie w tłumie zmniejsza się znacznie poczucie odpowiedzialności za swe czyny wobec zwiększonej szansy bezkarności za czyn dokonany.

Trudno jest wytłómaczyć inaczej, dlaczego nawet skupienie ludzi skądinąd doskonałych i niepospolitych spada do poziomu pospolitości, i to tym niezawodniej, im skupienie to jest liczniejszym.

Panu Sighele najwięcej trafia do przekonania wyjaśnienie Nordau'a. Zdaniem głośnego autora „Paradoksów" na niepospolitość poszczególnych jednostek składa się mała ilość wyjątkowych ich znamion, podczas gdy przeważająca mnogość pozostałych cech upodobnia ich do pierwszego lepszego przechodnia. W tych warunkach gdy powstanie zgromadzenie wielu Newtonów, Helmholz'ów, Goethe'ych, Shakespeare'ów — nastąpi zsumowanie pojedyńczych osobliwych cech, które wówczas utworzą tymbardziej znikomą cząstkę wobec zsumowanych często napotkanych cech pospolitych. Te ostatnie zacierają tamte i stąd pochodzi, że zbiorowe postanowienia i uchwały ludzi niepowszednich stają się bardzo powszednimi i nieróżnią się od uchwał pierwszych lepszych ludzi w sprawach pospolitych.

Wpływ zbiorowiska na psychologję osobową, jaki scharakteryzowaliśmy wyżej, jest, zdaniem p. Sighele, podstawą podwójnej moralności: *prywatnej*, wyższej, pełnej skrupułów *i publicznej* niższej, wolnej od skrupułów. Ludzie skądinąd uczciwi i rozsądni w odosobnieniu i w życiu prywatnym—w życiu publicznym uczestnicy stronnictw i sekt popełniają szaleństwa i niesłychane nikczemności

Obrazuje zachodzące w tej dziedzinie stosunki pewna anegdota z życia Chataubrianda. Głośny ten pisarz francuski, widząc raz Talleyranda i Fouche'go idących pod rękę do pałacu Ludwika XVIII rzekł: „oto idzie występek wsparty na zbrodni". Starożytne przysłowie głosi: „senatores boni viri senatus autem mala bestia".

Do tego znieprawiającego wpływu zbiorowiska na psychologję jednostki dołącza się szereg wpływów które p. Sighele wyróżnią pod nazwą *sekciarskich* inaczej zwąc je terminem „*psychologji* sekt". Pod mianem „sekt", autor bynajmniej nie rozumie tylko zasklepionych gorliwców religijnych. Sektą p. Sighele nazywa wszelkie zrzeszenie ludzi opanowanych jedną przemagającą zasadą polityczną społeczną lub religijną. Częściej jeszcze autor sektą nazywa wszelki tłum w momencie działania, w stanie dynamicznym. Si-

ghele przypisuje tak pojmowanej sekcie odrębną swoistą psychologję, która jego zdaniem odnajduje się jako składowa część i w przejawach psychologicznych innych skupień ludzkich.

Zdaniem autora sekty uspasabiają do czynów gwałtownych zbrodniczych, z łatwością wzniecają kwiożercze instynkty atawistyczne, zarażają swych uczestników monoideizmem, (*idee fixe*, *Zwangsidee*) i utrzymują w stanie bardzo słabej poczytalności, w stanie daleko posuniętej egzaltacji. Obok krańcowości nastroju spostrzega się pośród sekt przytym niezwykła zmienność nastroju oraz podatność do ulegania suggestji.

Wszystkie dotąd wyszczególnione ujemne znamiona ludzkiego skupienia wzrastają i nabierają wyrazistości, gdy skupienie się powiększa. Ta psychologja sekt, będąca nowym źródłem ujemnych znamion zbiorowego działania, w mniejszej mierze odnajduje się u wszelkich skupień ludzkich innej kategorji. Ustosunkowania stwierdzone i omówione powyżej zaznaczają się i daleko przenikają w nowoczesne pospolite życie praktyczne i z tego względu dają dużo do myślenia. Wyciskają one swe piętno w pedagogice, w parlamentaryzmie, w nacjonalizmie, w państwowości i t. p. Trudno jest znaleźćć środki zaradcze na zło stąd płynące.

Alexy Kurcyusz.

KRYTYKA.

Sam wśród ludzi.

(Powieść ostatnia Stanisława Brzozowskiego).

Jest rzeczą straszną pomyśleć, że ten, czyje słowo niegdyś było ogniwem zespolenia i zasiłkiem otuchy dla współbraci, sam — trup żywy — od całego świata wyklęty, odszedł jako banita. Bo trupem stał się już za życia. Przedśmiertne pisma jego były głosem człowieka żywo pogrzebanego. Jękiem przekrwionym dobywały się z mogiły. Miały w sobie już tylko tyle sił, ile w piersiach zostało rozpaczy. Resztką rozpaczy gasnącej przebijać musiały rzecz cięższa, niż wieko trumny i twardszą, niż kamień, — hańbę. I odtąd każda myśl Brzozowskiego, wstając ku nam z tego grobowca hańby, dźwigała na sobie ślad okropny — mękę trupa. A myśli te, — oh! tu kres szaleństwa! — te myśli, które, jak letargnik zatrzaśnięty w grobie, wiły się w spazmach katuszy, te, myśli, z góry już przeklęte w czaszce, która je pomyślała, chciały nieść ojczyźnie zdrowie i życie, rwały się, aby jej służyć, wieściły jej prawdy odrodzenia, zapalały przed nią wizje przyszłości, pragnęły naród cały zakuć w nowy dlań zakon pracy i swobody!...

Dziś, kiedy wreszcie śmierć przecięła to pasmo rozdarć i sprzeczności, jakim było jego życie, możemy spokojniej, obojętniej spojrzeć na szlaki jego myśli: nie będziemy już poza nimi dostrzegać pręgierza, na którym krwawi się człowiek żywy, sprawca strasznej zbrodni, lub może, — zbrodni jeszcze straszniejszej — ofiara. Wieść o zgonie jego przyjęliśmy z uczuciem ulgi, że umarł ten, którego wszyscy poczytali za umarłego Śmierć była jedyną już rozjemczynią, której wyrok mógł przynieść mu bezwzględne ukojenie.

Jeśli bowiem ten człowiek niewinnie był posądzony, to wówczas jednej minuty, jednej iskry bólu, który go trawił i przepalał w ciągu lat, nie okupiłyby wieki późniejszych tryumfów, nie zgasiłyby wszystkie oceany ziemi; ból taki przyjąć na swe łono i uśmierzyć zdołałaby tylko wieczność ciszy, wieczność zapomnienia.

A jeżeli był istotnie winien?

Napróżno, miotani między dwoma biegunami przeciwieństw, staralibyśmy się zająć dzisiaj stanowisko pewne i ostateczne wobec splotu zagadek, które naprzemian błyskają, ku nam twarzą judaszowej zdrady i stygmatem męczeństwa.

Opinja całego kraju domaga się rewizji dowodów oskarżenia i wymiaru sprawiedliwości; na słowo wyroku czeka już nie ta lub owa jednostka, ale naród w swym zespole. Chcemy wiedzieć prawdę, i wiedzieć ją musimy!

Prawda ta atoli, bez względu na treść swą, nie będzie grała żadnej roli przy ocenie naukowej albo literackiej wartości puścizny Brzozowskiego: nie podeprze ona żadnego w niej twierdzenia, i żadnego też nie zachwieje. Znaczenie jej wywrze skutek jedynie w obrębie własnej naszej budowy moralnej; jedynie dla nas, dla polskiego środowiska, z którego wyrósł Brzozowski istnieć może dręczące zagadnienie winy lub niewinności Brzozowskiego. W istocie obchodzą nas tu losy i przeznaczenie własnego naszego zaufania. W duszy tego człowieka złożyliśmy skarbnicę najżywszych nadziei, pragnień, ideałów: więc z niepokojem pytamy, czy na mogile Florenckiej mamy opłakiwać ich zgon, czy złorzeczyć ich sponiewieraniu?

W obu jednak wypadkach myślowa i artystyczna doniosłość dzieł Brzozowskiego pozostanie tym, czym jest obecnie: ich obszar zmianom nie ulegnie. Pozostanie pogorzelą olbrzymich cyklopicznych budowli, zwaliskiem fantastycznych wysiłków, rojeń i porywów, oświeconym łuną kataklizmu.

W otoczu przeraźliwych ruin dźwigać się będzie także, niby szczyt potrzaskany od gromu, samotny, pustynny złom jego ostatniej pracy beletrystycznej.

„Sam wśród ludzi".

Tntuł książki, obejmującej niemal pięćset stronic, jest wiernym odbiciem ostatnich chwil jego życia, a treść jej — odbiciem chaosu i przedśmiertnej gorączki jego myśli.

Filozofja Brzozowskiego polegała na przeciwstawieniu twórczej woli człowieka żywiołom groźnej pozaludzkiej mocy. Ogromny przestwór samotności roztaczała ona wokół każdego ośrodka pracującej jaźni. Człowiek, jednostka świadoma swych zadań, w przekonaniu Brzozowskiego, zmagał się ustawicznym śmiertelnym wysiłkiem z kolosem wrogich, opornych, ślepo działających potęg. W mroku, jaki nas zewsząd oblewa, jedyne światło, dostępne oczom naszym, tryska z kuźnicy czynów, wykuwanych wolą człowieka na twardym łonie żywiołu.

Ta fantastyczna, nieujęta teorja, podległa wahaniu zmiennych nastrojów duszy, rozpięta jak mgła nad światem realnym, w jednym tylko punkcie stykała się stanowczo ze sferą rzeczywistości, pozostając w niezaprzeczonym z nią stosunku wzajemnych oddziaływań: był to punkt przecięcia jego filozofji z tragedją jego życia. Cokolwiekbądź krytyka zawodowa orzeknie o zasadności podstawowych tez filozofji Brzozowskiego, nie utraci ona nigdy wartości podmiotowej, jako synteza rozumowa druzgoczących przełomów jego życia. Myśl Brzozowskiego to smuga iskier, krzesanych ścieraniem się ciągłych w jego duszy sprzeczności. Myśl jego to pochodnia zapalająca się od wichru walki. Swiatło jej nie jest lśnieniem łagodnych powierzchni, odbijających spokojny majestat słońca: to światło błyskawic, przelatujących z chmury na chmurę, rozdzierających ciemność krwawymi pręgami, od których źrenice ślepną, ale wola tężeje i urasta serce.

„Sam wśród ludzi" — powieść poczęta na tej samej płaszczyźnie twórczej co „Płomienie", przenosi również ognisko zainteresowań ze zjawisk zewnętrznych na zjawiska duszy, wybitny, niemal wyłączny kładąc nacisk na ciężar odpowiedzialności za takie lub inne rozstrzygnięcia zagadnień, stawionych nam przez życie. Swiat przedmiotowy, dziedzinę barw

i rozkoszy, zapachów i upojeń, krajobrazów i wrażeń zmysłowych, Brzozowski sprowadza do roli potrąceń zewnętrznych, wprawiających w ruch skomplikowany i zawiły mechanizm woli. Napróżno człowiek stara się ogłuszyć warem tętniącego życia: Brzozowski władnym zaklęciem przemożnego słowa odsuwa odeń wrzawę i ponętę chwili, zamyka go w mroźnej pustelni rozmyślań, sam na sam... z koniecznością nagłej nieubłaganej decyzji. Brzozowski ani jednej chwili nie pozwala człowiekowi zapomnieć się, dać się unieść fali powszechnego ruchu, który znaczy tyleż, co powszechny bezwład. Dzień i noc każe on czuwać bezsennej, niezmożonej woli. Każdej chwili, na ostrzu najbłahszej sprawy, u stropu najbłahszego postanowienia, zawiesza on całą wagę naszej egzystencji, naszej godności. Jest on bezlitosnym jasnowidzem w wykrywaniu drobnych, codziennych skrytobójczych zamachów przeciw istocie naszego ducha, polegającej na rzetelności względem samego siebie. Tam, gdzie uśmiecha się słoneczna dobrotliwość, w duszach gołębich, kwitnących białością lilji, wonnych aromatem przeświadczonej o swej cnocie niewinności, Brzozowski wykrywa całe cmentarze pomordowanych skrycie objawień piękna i heroizmu, całe pokłady tęsknot i przedsięwzięć przysypanych gruzem kompromisów, szalbierstw, samozaprzeczeń i świątobliwych, z ołtarza zdjętych, kłamstw.

Jego doświadczenie, jego obserwacja i przenikliwość w tym kierunku nie ma poprostu granic.

Nie czyniąc właściwego wyboru, zdając się na los przypadku, dajemy poniżej szereg uwag, ujętych w więzłą postać aforyzmów, zebranych na kartach ostatniej powieści Brzozowskiego, w przekonaniu, że nawet w luźnym związku, zatrzymać zdołają charakterystyczność swej wymowy.

* * *

Smieszność bywa przemijającą grą światła i cienia, gdy między nami a słońcem jest potworność.

Kiedy człowiek nie śmieje się, szydzi bezoki duch ziemi, lepka glina.

„Człowiek dystyngowany nie widzi, gdy jego równy cierpi, nie chce go urazić. Gdy mojego ojca astma przed śmiercią dusiła, rzekł mi: gdy będziesz asan umierać, nie będziesz także ładny, nie potrzebujesz mi się asan z kondolencją przypatrywać".

„Tylko motłoch mówi o tym, co czuje; człowiek urodzony mówi, gdy myśli".

„Ojczyzna, ojczyzna!" — a jak do chłopa dojdzie, to go nie oddadzą za nic, za żadną cenę. Panie najświętszy! — modlą się — choć w piekło poślij, ale na chamie.

Nic nie jest mniej podobnym do kobiety, bardziej rzymskim, prawdziwie i jedynie na ziemi wstydliwym, niż młody, szczęśliwie uposażony, mający w sobie przyszłość, dumny chłopiec.

Miarą przyjaźni jest to, aby nad pewnymi rzeczami nigdy bez przyjaciela nie rozmyślać.

Zbytek gościnności o jeden cal tylko graniczy z lokajstwem.

„Posłannictwem dziejowym kobiety jest wyrażać wiarę swej epoki w bardziej niewzruszonych, niż określenia i pewniki geometrji, linjach swego ciała."

Dusza tworzy w sobie zarówno oko, które widzi, jak i siebie samą widzianą.

Człowiek, czujący się niczym pod gwiazdami, stworzył ich wielkość i tę srebrzystą, martwą, zimną ciszę, która otacza go, mrozi i chłonie.

Zginąć można śród własnej Sahary: być takim twórcą własnych katakumb, milczących kamieni, płaczu wiatru i szemrania piasków, że się nigdy już z pod tego grobowca nie wstanie.

Potępienie i zguba bywają często mocnym czynem duszy.

Każdy punkt przecięcia duszy i zjawiska jest bezmiarem.

Najskuteczniej zwalczamy to, czego nie zdolni jesteśmy przeżyć.

Nawet niestrawność może mieć w sobie coś z urażonej godności własnej.

Pewne nienawiści nie dojrzałyby w nas wcale, gdyby w pierwszych swych fazach nie były podobne do uznania, podziwu, wdzięczności.

Trzeba pozostać w zgodzie z samym sobą, z samym sobą najwyższym, a więc najmniej swojskim, najmniej miłym nam.

Gdy spotkasz nawet własnego trupa na drodze, i zimne niebo powie ci: napróżno, — cuchnie już! — nie trać odwagi; to ginie może serce wczorajsze.

Są takie rzeczy, że gdy się je wie o innym człowieku, to wie się już o nim wszystko.

Myśli skomplikowane przynoszą pociechę, związaną z własną ich naturą.

Gdzie kończy się nałóg, zaczyna się tworzenie.

Przeminął czas, kiedy tron i władza przez miecz i siłę olśniewała. Inna mię bardziej zachwyca potęga, i ten z Sykstusów któryś, co z pastucha wdrapał się na szczyt człowieczeństwa, na wierzchołek jego samotności w duchu, większym mi się wydaje, niż Buonaparte, wzorem.

Umarli są potężni: tworzą ziemię, glinę, która się nóg czepia, — nie uciecznesz!

* * *

Nie ulega wątpliwości, że z czasem, w miarę coraz głęszego przenikania krytyki w istotę pism Brzozowskiego, uwaga ogółu skupiać się pocznie na artystyczno-psychologicznej stronie jego twórczości. Świat był dlań chaosem w którym orjentował się nieudolnie i mglisto. Natomiast, w obrębie zagadek i udręczeń duszy, w ciemnościach sumienia ludzkiego, wzrok jego nabierał niepospolitej przenikliwości i pełni widzenia.

Józef Pomirski.

„Anachroniści" Mieczysława Srokowskiego.

W chwili, gdy Srokowski już, już miał wybrnąć z gąszczów obłędnej erotyki, wyniszczającej ciało i duszę, w chwili tej zabrała go śmierć.

Jak ciężka zmora, dławiła jego „epigonów" niezaspokojona żądza miłości. Jak druga zmora jeszcze okropniejsza, stała nad nimi niemoc obumierającej kasty. I wynikiem życiowym „epigonów" było najczęściej — samobójstwo, jedyne zakończenie wielkiego bankructwa fizycznego i moralnego.

Srokowski poddawał się suggiestji istniejącego stanu rzeczy, odbijał w sobie typy zaobserwowane. I dlatego kreślił to, co widział — kreślił wątlaków,

nie zdolnych do opanowania biegu spraw życiowych, do służby idei, do opanowania zmysłów swych nawet.

Jak rośliny wątłe i cieplarniane, szukają oni serca kobiety, by na nim wesprzeć się w życiu. Szukają kobiety nie po to, by ją porwać światoburczym ramieniem, lecz po to, by na jej kolanach złożyć głowę, lub też odurzyć swą steraną, melancholijną pamięć chwilą rozkoszy.

Lecz pewnego dnia niewolnik swych zmysłów i niewolnik wampirycznej kobiety zapragnął siły. Obudziła się w nim męzka jego wola. Wyszedł z groty Wenus oświeconej różowymi amplami na świeży przestwór pól. Zaczął roić świat nowy, świat ludzi pięknych, silnych i doskonałych. Obudziła się w nim głęboka pogarda dla niedosiłków, dla estetycznych i hellenizujących bankrutów życiowych.

Napisał wtedy „Anachronistów".

Poraz to pierwszy w jego twórczości występuje typ człowieka silnego. Poszukuje go w przeszłości. Na rubieży przeszłości stawia niepożytego starca, Saksagańskiego, byłego powstańca; na rubieży przyszłości stawia Jura Hodylewicza, anarchistę i rewolucjonistę nowoczesnego, typ, zapowiadający przyszłość i nie znajdujący jeszcze dla siebie miejsca w życiu.

Lecz pragnienia Srokowskiego nie stały się jeszcze mocną pewnością i wiarą. Chciałby widzieć na świecie takich Jurów, lecz nie wierzy, iżby warunki jeszcze istnieć im dały. Więc dzieło życiowe Jura kończy się porażką. Żołnierzy, których połączył w koło uświadomione, dotyka kara. Jeden z nich odbiera sobie życie. Wlecze się za nim krwawy różaniec nieszczęść. I on, który już przestał walczyć, nie pojmuje, nie jest zdolny sercem ogarnąć słów Boczkańca, że krew i łzy nie idą na darmo.

Porażką nie tyle zewnętrzną, ile porażką w nim samym kończy się jego przedsięwzięcie — wzbudzenie buntu w ciemiężonych. Niema w nim wogóle danych do zwycięstwa w jakiejkolwiek dziedzinie. Pierwsza miłość jego — do córki promnika, Debory, więdnie jak kwiat, umieszczony pod kloszem z gazem trującym. A druga, niedościgła miłość do księżny Gonzagi, kończy się rozstaniem i śmiercią ukochanej. Tej śmierci nie przeżywa Jur i odbiera sobie życie w płomieniach. Jur jest zapowiedzią przyszłości i niema dla niego szczęśliwych rozwiązań. A może też — reszta starych win ponawianych ciąży nad życiem i niszczy je, jak trucizna w nie wszczepiona. Szał erotyczny, drżenie wszystkich fibr do miłości kobiety nakłada na życie Jura brzemię śmierci promnika, który może dostał ataku sercowego w jego żelaznych ramionach, nakłada na nie brzemię krzywdy Małaszki, nieobecności przy śmierci matki... Ten, który chce świat odrodzić, nie jest jeszcze sam odrodzony. Więc nie powiewa nad nim sztandar zwycięski i opuszcza szlak boju z gorzkim poczuciem, że wlecze się za nim krwawy, a może nadaremny różaniec nieszczęść.

Obok Saksagańskiego i Jura ludzi, stojących po za swoim zdegenerowanym czasem, stoi tajemniczy Getko, potajemny kongresista londyński, wiedzący o wszystkich zamachach anarchistycznych, zanim zostaną dokonane, i książę Gonzaga. Człowiek z plebsu i człowiek z arystokracji doszli do jednakowych wniosków, do wniosków skrajnego, niszczycielskiego anarchizmu. Zwyrodniałe pokolenie ma być wytępione, a ludzie silni i nowi, nieliczne jednostki lepsze mają się połączyć i stworzyć „nową ludzkość, piękną, mocną i władną, któraby drogą doskonałości dążyła aż do Bóstwa"...

Więc trzeba „iść śmiało do wielkiego zniszczenia", bo „wyjątki najszlachetniejsze nawet, które może istnieją, całego gatunku ocalić nie mogą, muszą tylke w owym błocie ogólnym z czasem zginąć". Sen odrodzonej ludzkości — lecz na gruzach słabych. Sen o mocarzach — którzy urośli ze krwi niewolników. Srokowski otrząsając się z bezwładu erotycznego, podparł się ideałem siły, który przeciwstawiał się najjaskrawiej zniewieściałości epigonów. Lecz mocarze jego będą znali tylko jeden sposób sanacji — mechaniczne usunięcie jednostek przez śmierć. Ani morfinizujący się Getko, ani szybko załamujący się w wierze i czynie Jur nie mają w sobie jasności, która może znikczemniałych przepromienić i przetworzyć. Cios śmiertelny jest mechanicznym argumentem tyrana, który zna tylko przemoc. Wiara w siły duchowe usuwa wiarę w sanację przez zniszczenie. Lecz tej wiary nie zdążył jeszcze osiągnąć Srokowski. Obudziło się w nim pragnienie piękna i mocy, lecz spało jeszcze białe pragnienie dobra, bez którego odrodzenia nic będzie.

W „Anachronistach" forma powieściowa jest bardziej zobjektyzowana, dojrzalsza. Niema tam już tej nieokiełzanej, szalonej, szczerej aż do krwawego rozdzierania trzewi liryki młodzieńczej, co w nowelach p. t. „Krew", w „Kulcie ciała" i t. d., która jednak, zniewalała i porywała swą bezpośredniością i mocą. Nowy to był etap w jego twórczości. Zawcześnie zgasł talent, który wiele jeszcze mógł dać ze siebie.

Savitri.

Z muzyki.

Wystawieniem wiekopomnej IX-ej symfonji Beethovena pod dyr. Henryka Melcera zakończyła Warszawska Orkiestra Symfoniczna tegoroczny sezon, który, w porównaniu z rokiem ubiegłym, wypadł pomyślniej zarówno pod względem artystycznym, jak też pod względem frekwencji publiczności. Oceniając należycie pracę Warsz. Ork. Symfon. z jej utalentowanym kierownikiem Grzegorzem Fitelbergiem na czele, i nie mając bynajmniej zamiaru podawać w wątpliwość lub zmniejszać zasługi sympatycznej organizacji, odgrywającej tak ważną rolę w naszym życiu muzycznym, pragnąłbym jedynie uczynić parę uwag natury ogólnej, związanych z zakończonym niedawno sezonem koncertowym.

Według przyjętego zwyczaju, zarząd Warsz. Ork. Symfon. ogłasza na początku roku nazwiska wirtuozów, mających wziąć udział w koncertach, oraz spis dzieł orkiestrowych, przeznaczonych do wykonania. Spis ten obejmuje zazwyczaj kilkadziesiąt, mało lub wcale nieznanych utworów, budzących oczywiście zainteresowanie wśród naszych miłośników muzyki.

Zgodzi się chyba każdy, iż zapowiedź taka jest bądź co bądź pewnym zobowiązaniem moralnym, którego należy dotrzymać, inaczej sprawia to wrażenie niesmacznej kupieckiej reklamy, nie licującej z powagą instytucji. Jednak w rzeczywistości zarząd Warsz. Ork. Symfon. nie liczy się wcale z podobnymi skrupułami i z ogłoszonych kilkudziesięciu utworów wykonywa... kilkanaście, odkładając „resztę" *ad feliciora tempora.* Tak samo było w roku zeszłym, tak samo — w bieżącym. Niektóre nawet dzieła figurują w obydwuch spisach i dotąd próżno czekamy na ich wykonanie i długo prawdopodobnie czekać jeszcze będziemy. Przyznajmy chętnie, iż wykonanie wszystkich zapowiedzianych dzieł w ciągu sezonu koncertowego jest niemal fizyczną niemożliwością, poco więc obiecywać to, czego się nie jest w stanie dotrzymać?

Następną sprawą, na którą chciałbym zwrócić uwagę, jest lekceważenie przez Zarząd Warsz. Ork. Symf. muzyki polskiej i traktowanie po macoszemu kompozytorów polskich, zwłaszcza niektórych, nie cieszących się z najrozmaitszych przyczyn względami zarządu.

Zapewne, polska muzyka symfoniczna ustępuje bezwątpienia muzyce innych narodów, w porównaniu z którą jest dość uboga, jednak i my mamy już coś nie coś godnego conajmniej uwagi, niektóre nawet dzieła

z powodzeniem mogą rywalizować z harmoniczno-kontrapunktycznymi wyrobami wielu spółczesnych mistrzów cechów kompozytorskiego, opatrzonych marką zagraniczną.

Dla czego np. tak rzadko mamy możność słyszenia dzieł najwybitniejszego naszego symfonisty Mieczysława Karłowicza, którego ostatni poemat „Dramat na maskaradzie" figuruje już dwa lata z rzędu w ogłoszeniach Warsz. Ork. Symfon. i nie został dotąd wykonany, pomimo, iż wartoby nareszcie przypomnieć sobie o tym. Dlaczego np. dzieła Zygmunta Noskowskiego, który położył dla naszej muzyki „pewne" zasługi, są niemal na indeksie i prawie nigdy nie są grane?

Wiele jeszcze podobnych „dla czego" możnaby przytoczyć na dowód, że Zarząd Warsz. Ork. Symfon. nie poczuwa się wcale do obowiązku popierania muzyki polskiej, chyba gdy kompozytor należy do uprzywilejowanej przez Zarząd koterji, pozatym jednak bardzo nieliczne zdarzają się wyjątki, chociaż zdawałoby się, iż powinno być trochę inaczej.

Pozatym działalność Warsz. Ork. Symfon. wolna jest od poważniejszych zarzutów i zasługuje na uznanie, które chętnie każdy przyzna.

* * *

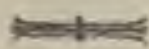
Z działalności naszej sceny operowej mamy do zanotowania wznowienie ładnej opery Czajkowskiego „Jolanta", granej przed kilkunastu laty w Warszawie z miernym powodzeniem.

Zapewne, pod względem wartości artystycznej „Jolanta" stoi bezwarunkowo niżej od takich arcydzieł jak „Eugeniusz Oniegin" lub „Dama pikowa", nie potrafiła też zdobyć sobie szerszego rozgłosu, jednak pomimo to zawiera dużo ładnych szczegółów, składających się na całość interesującą i sprawiającą wrażenie, podnieść więc należy z uznaniem wznowienie przez dyrekcję tego nieznanego nam prawie dzieła, tymbardziej, iż wystawiono je nader starannie pod kierunkiem utalentowanego kapelmistrza p. Piotra Cimini, którego wybitne zalety miałem możność podkreślić niejednokrotnie, a całokształt wykonania, dzięki dobrze zespolonej grze biorących w nim udział artystów, bardzo dodatnie sprawił wrażenie (pp. Miriam-Wohlówna (Jolanta), Ostrowski, Zeni, Brzeziński i inni).

Poza „Jolantą" nowości żadnych nie było i repertuar składał się z oper dawniejszych, w których występowali od czasu do czasu nieznani nam jeszcze śpiewacy. Usłyszeliśmy wiąc kilkakrotnie p. Marję Święcką (córka słynnej Popiel-Święckiej), śpiewaczkę początkującą, której występy cieszyły się miernym uznaniem, oraz p. Jadwigę Lachowską, artystką posiadającą ładny, dźwięczny i miły głos, sprawiający dodatnie wrażenie.

A. Zabłocki.

NA DOBIE.



Oto Człowiek!

W rzędzie t. zw. dziwnych księży stanął znów jeden z niewielu — „dziecię Łomży" jak świadczy podpis u spodu niezwykłej i ze wszechmiar ciekawej enuncjacji w ostatnim (19—20) numerze *Wspólnej Pracy*.

Bierzemy ten zeszyt do rąk z podziwem i wzruszeniem.

Niespożytą musi być siła Prawdy i Dobra skoro przemawiać może głosem szlachetnego protestu i uniesienia z łona kasty tak nawskroś zbutwiałej, zimnej i zasklepionej w ciasnym swoim egoizmie.

„Dziwny ksiądz" z Łomży zrywa z dyscypliną kościelną, łamie solidarność zawodową, podważa węgły własnej korporacji — aby złożyć publiczne świadectwo prawdy i jako szczery, istotny chrześcianin — poprzeć sprawę maluczkich, krzywdzonych, spotwarzonych...

Ecce Homo! Wbrew kościelnemu swemu powołaniu, a w myśl powołania ludzkiego, broni on *Zarania* i postępowych włościan od wściekłych ataków kleru z powodu artykułów *Młodzi Idą*! z których zdawaliśmy świeżo sprawę W słowach gorących, przepojonych szczerą miłością i bezpośrednim odczuciem cierpień wiekowych naszego ludu, ujmuje się ksiądz łomżyński za młodymi pionierami *Zarania*, otwarcie i solidarnie podziela ich żale, ich bóle, ich troski, ich nadzieje, zamiary i hasła bojowe.

Ramieniem i piersią jakby osłaniając włościańską brać młodszą przed potwarczymi napaściami, przed zjadliwą niechęcią swoich kolegów, ksiądz łomżyński, świętym uniesiony gniewem, rzuca na głowy tym ostatnim brzemię ciężkich jak głazy zarzutów.

Oto karcąca jego apostrofa w kilku ważniejszych wyimkach:

„I nie w chłopskie chyba, lecz we własne piersi kamieniem skruchy i mocnego postanowienia poprawy — uderzmy! Wszyscy! — bośmy winni — jedni mniej, drudzy więcej — wszyscy! A więc i my, najwpływowsi, i wy, najbogatsi, spadkobiercy największych działów biednej matki ziemi polskiej, — uderzmy się w piersi, bośmy my najwięcej zawinili. Myśmy tyle przetrwonili! myśmy najmarnotrawniejsi synowie! Przeczytajmy ze skruchą polskiego serca tę całą krwawą litanję chłopa!

A więc i my, głosiciele Ewangelji! My, Biskupi, Arcybiskupi, prałaci, całe duchowieństwo polskie! Jeżeli zbyt dumni jesteśmy, aby się wobec ludu przyznać do win naszych, jeżeli się wstydzimy wyznać grzechy nasze, to przynajmniej, jako owi poczciwsi faryzeusze, odejdźmy pocichu, że spuszczonym czołami i oczyma, tyle win mamy każdy, wobec tej ziemi naszej polskiej, wobec tej mowy polskiej, wobec tych kmiotków naszych polskich!...

Chcieliśmy, aby nie śmiano dotykać naszych bolączek, aby nie wytykano naszych słabości, abyśmy byli w poszanowaniu, — gdy siejemy zgorszenie, zgniliznę.

Chcemy, aby nie oddawano pod pręgierz czynów naszych, aby lud poddawał się bez szemrania kierownictwu naszemu — nie dajmy więc powodu do zohydzenia Wiary św. (że nią się maskujemy!). A więc przedewszystkim my, katolicy, przestańmy miotać jadem nienawiści na zbłąkanych braci naszych Marjawitów, których samiśmy popchnęli na tę drogę. Wszak niedawno, bo przed 1905 r., byli to zacni, należący do najwzorowszych, ludzie! A temu, że opuścili nas, winien nasz własny nietakt — brak cnót Chrystusowych — łagodności i dobroci. Wszak oni bracia nasi! A Chrystus dobrocią i słodyczą przyciągać nakazywał. Przynajmniej zostawmy ich na uboczu — w spokoju, kiedy nas znać nie chcą!

Przestańmy sami się kłócić, dołki i zasadzki pod sobą kopać w pogoni za karjerą, za intratą, o każdy lepszy kąsek, lepsze probostwo! Przestańmy się wygryzać jak psy i nierogate — od koryta!

Cała ta liczna rzesza nie tylko, że nic nie buduje, ale niweczy nawet wspaniałe skutki gorliwszych. Nie chcąc być jasnością świata, a chcąc nie podlegać sądowi współobywateli (owieczek), odsyłamy ich po karę — sąd na siebie — do Pana Boga, na sąd ostateczny, zamiast tu za życia uregulować nasze rachunki! Nic dziwnego, że lud myśli, że my sami nie wierzymy w to, co głosimy! że maskę przywdziewamy i śmiejemy się do siebie, jak ongi wróżbici pogańscy, co na stronie szeptali do się: „widzisz, jak się dają okpiwać, jacy oni łatwowierni, jak barany i owieczki!"

Tak być dalej nie może, nie powinno. Owszem ja, ksiądz, rzucam Wam rękawicę i twierdzę, że dzisiejszy prawie każdy ksiądz, to, z małymi wyjątkami, mniejszy lub większy karjerowicz, to niemal ów wróżbita! Kto bez winy, niech ciska kamienie i pioruny w ten lud i we mnie! I lud ma się garnąć do nas? Ma nie narzekać: „Hej, ziemio ty polska! nieczuła, zimna"!...

Skoro więc wielu wśród nas winowajców, powinniśmy inaczej obchodzić się z ludem, bardziej według serca Bożego! Wychowujmy kleryków na Sługi Boże, a nie na kapłanów złotego cielca!

Jako P o l a c y łączmy te członki rozćwiartowane ziemi naszej, skupiajmy i jednoczmy wszystkie serca polskie! Niedajmy ich na pastwę wrogom naszym! Ale zato sami musimy wstąpić na drogę prawdziwego postępu, bo lud — przepowiadam — odwróci się od nas, jak we Francji, Hiszpanji, Portugalji! Nie róbmy stronnictw katolickich — bo tym samym się wydzielamy! Kapłan każdy winien być z duszy Polakiem, wtedy i lud Polski będzie prawdziwie katolickim! Inaczej i nad Kościołem Polskim napisano: „Mane takel fares". To się niedługo sprawdzi, jeżeli duchowieństwo nie nawróci się na polskość!"

Wojna o Kongres Pokoju.

Warszawscy i krakowscy pacyfiści wezmą udział wraz z całym kulturalnym światem w tegorocznym kongresie Pokoju w Rzymie; nad ich głowami wisi klątwa papieska.

Natomiast pacyfiści kijowscy, którym przywodzi hr. Michał Tyszkiewicz, nie chcą jechać do Rzymu, i ślą sążniste z tego powodu listy, protesty i komentarze do centralnej ligi Pokoju w Bernie i do redakcji naszego pisma.

Wybuchła więc wojna domowa pomiędzy klerykalnym, a świeckim pacyfizmem. Prasa katolicka sławi pacyfizm kijowski, a gromi warszawską i krakowską ligę pokoju za jej bezbożne stanowisko.

— Zarząd „pokojowców" w Warszawie — twierdzi *Dziennik Powszechny* — złożył jawny dowód, że katolików w szeregach swych członków mieć nie chce i o nich nie dba...

Zestawmy te słowa z listem kijowskiej ligi pokoju (w końcu tego Nr.), złożonej z elementów różnowierczych i różnojęzycznych, a mimo to bardziej wobec papieża lojalnej, niźli warszawscy i krakowscy „pokojowcy".

Mieszane Tow. Pokoju w Kijowie powinno (zamiast czczych protestów i długich komentarzy) przystąpić do świeżo powstałej secesji katolickiej lig Pokoju, która właśnie zwołuje zjazd d. 4 czerwca w Brukseli, pod egidą kleru.

Nie wiemy tylko, jak przyjmą to liczni wśród kijowskich „pokojowców" różnowiercy; w każdym bądź razie trzeba zdecydować się nareszcie, czy pacyfizm jest ideą świecką i neutralną wobec wszelkich Kościołów, czy też — oddziałem czarnej międzynarodówki, pod rzymską egidą.

Tragiczny wypadek.

W niedzielę d. 21 maja zeszedł w Issy les Moulinaux, pod Paryżem, wypadek niezwykły i tragiczny. Oto na polu ćwiczeń lotniczych, jeden z aeroplanów, biorących udział w wyścigu Paryż-Madryt, w oczach 200,000 widzów spadł na grupę widzów i zabił na miejscu ministra wojny, Maurycego Berteaux, raniąc jednocześnie dość ciężko Ernesta Monisa, prezesa rady ministrów. Ten ślepy cios przypadku wywołał zamęt dotkliwy w organizmie państwowym Francji, bowiem Maurycy Berteaux, człowiek w sile wieku, niezmiernie w kraju popularny, był pierwszorzędnym mężem stanu i znakomitym znawcą spraw wojskowych, którym całą swą niespożytą energję poświęcał.

Z PRASY.

Z prasy polskiej.

* W jednym z ostatnich numerów *Dzien. Petersburskiego* zamieszczono odezwę tej stereotypowej treści:

„Na posiedzeniu komitetu redakcyjnego *Dziennika Petersburskiego* w d. 2 (15) b. m. po szczegółowym i wszechstronnym rozpatrzeniu położenia finansowego pisma, komitet jednogłośnie skonstatował obojętność kolonji, z wyjątkiem poszczególnych jednostek, względem pisma, które tej kolonji w miarę sił i możności 1 i pół roku blisko służyło, i wobec tego zdecydował, że, o ile taki stosunek kolonji, znajdujący wyraz tak w sumie wpływającej prenumeraty, jak udziałów, się nie zmieni, pismo w d. 15 (28) maja zawiesić, składając całkowicie odpowiedzialność za ten ujemny pod względem kulturalnym fakt na ogół naszej kolonji.

Dla powzięcia ostatecznej uchwały Pp. udziałowcy będą zaproszeni na walne zgromadzenie w d. 12 maja r. b.

Komitet redakcyjny *Dziennika Petersburskiego: Aleksander Babiański, Leon Połońskt, Slanisław Zaleski, Seweryn Wachowski, Henryk Lewenstam, ksiądz Teofil Kowalski*".

Zapowiedź upadku pisma, będącego zwierciadłem życia kolonji polskiej w Petersburgu, nasuwa bardzo smutne refleksje. Tymbardziej są one smutne, że *Dziennik Petersburski*, mimo wybitnie postępowego piętna, umiał zaskarbić sobie względy całej opinji polskiej, bez różnicy odcieni, za sumienną, wytrwałą i wytężoną pracę ideową na tej dalekiej placówce, rzuconej w obce, mętne i złe wiry stołeczne... To też wszyscy, nawet zachowawcy i endecy, stojący na przeciwnym gdzieś biegunie przekonań i metod, odczuli ewentualny upadek *Dziennika* jako „smutny objaw" obojętności, marazmu i apatji społeczeństwa polskiego w Cesarstwie, tego społeczeństwa, które mimo wcale pokaźnych środków materjalnych, nie umie i nie chce utrzymać własnego organu.

To też *Goniec* woła ze słuszną goryczą:

Wierzyć się nie chce, aby bogata i liczna kolonja polska w Petersburgu nie umiała i nie pragnęła utrzymać pisma polskiego. Okazuje się jednakże z wyżej wzmiankowanego artykułu, że kolonja chętnie poparłaby *Dziennik*, gdyby on stał się jej „niewolnikiem" i prawił komplementy pod jej adresem, Bogiem a prawdą, wcale jej się prawie nie należące.

Dziennik chociaż musi zejść obecnie z posterunku, ufa jednakże w to, że gdy wzrośnie świadomość wśród ekonomicznie przybitej demokratycznej kolonji w Petersburgu, to samo „konsorcjum", — które było przy jego narodzinach: robotnicy, studenci i dziennikarze — powołaj do życia nowy *Dziennik*.

* *Habent sua fata...* Niedawno dostało się *Słowu* od księży za Gambettę, a oto znów obruszył się kler— któżby przypuścił! — na poczciwy *Tygodnik Ilustrowany* (marnie) za... Żmurkę.

Tak jest. *Przegląd Katolicki* z właściwą sobie kompetentną powagą rozstrząsnął świeżo kwestję ponęt kobiecych w marmurze i na płótnie i taką poczciwemu organowi Gebethnera i Wolfa dał nauczkę:

Tygodnik Ilustrowany przeznaczony jest, o ile wiemy,—nie dla eleganckiego półświatka, ale dla szanujących siebie i dzieci swe rodzin; dlaczego umieszcza na tytułowej karcie utwór, który należałoby nazwać nie „Bajką", bo nic w niej niema z nadających się dla „Bajki" symbolów, ale — *ładną dziewką, umiejętnie upozowaną do żywego obrazu w jakimś lupanarze?* Nie wiemy, ale zapytać o to powinniby redakcję czytelnicy *Tygodnika*, a wydawców — księża, stanowiący znaczną część klijenteli pp. Gebethnera i Wolffa.

Nie wiemy, czy i jak odpowie redakcja napadniętego w ten sposób *Tygodnika* na czelność barbarzyńcy

w sutannie, który śmie wybitne dzieła sztuki polskiej kwalifikować do „lupanaru”. Pobożny Or-ot i świątobliwy Galle pewnie puszczą obelgę mimo uszu; podobnie— nasi malarze, żyjący z malowideł kościelnych i biblijnych panoram; o *Tow. Dziennikarzy i Literatów* wolimy nie wspominać...

Charakterystyczne są dalsze refleksje *Przeglądu Katolickiego* na temat: „*Nagość czy rozebranie?*” (sic); świadczą one, że przedmiotem rozmów i dumań w zakrystjach są zagadnienia bardzo doczesnej natury. Bo posłuchajmy:

> Zresztą „Bajka“ nie jest wśród naszych ilustracji wyjątkiem. Pierwsza strona *Świata* przynosi nam „Śniadanie na trawie“, do którego dwie imościanki zasiadają... bez koszul.
>
> Nagość w sztuce nie gorszy nikogo, kto ze sztuką się zetknął. Nagie ciało, to rdzeń plastyki starożytnej, i wzorowanej na niej sztuki Odrodzenia, i płynącej z tego dwoistego źródła sztuki nowoczesnej. Nietylko papieskie galerje rzeźb i cały Watykan, ale i kościoły przepełnione są nagością: możemy tego co do kościołów żałować i tę niewłaściwą ich ornamentację wypleniać, nie możemy jej samej przez się nazywać zgorszeniem. Ale jest różnica między rzeźbą w marmurze a uplastycznieniem w barwie, jest w tej ostatniej większa jeszcze różnica między nagością a— rozbieraniem się.

Jak widać, oprócz egzegezy biblijnej i kanonów kościelnych, lubują się tonsurowane głowy w subtelnym rozróżnianiu nagości i negliżów kobiecych.

Mniejsza o te gusta; gorzej, że tworzy się jakby nowy jakiś ostracyzm względem ubożuchnych naszych wystaw i pism ilustrowanych; niebawem ponad głowami artystów i redaktorów wyroki ferować będzie najwyższe *jury* złożone z duchownych ekspertów w rzeczach nagości.

Z prasy rosyjskiej.

* *W poszukiwaniu lekarstwa na łapówki.* Wedle projektu nowego prawa, nietylko biorący, ale i dający łapówki mają podlegać karom. Z racji tego projektu i jego motywów pisze *Riecz*:

> Im głębiej sięga rewizja senatorska w głąb naszego życia państwowego, im bardziej rozszerza się jej kompetencja, tym silniej podrywa swe własne znaczenie, tym wyraźniej doprowadza do autonegacji. Gdyż — im pewniejszą i płodniejszą jest jej praca, tym z większą stałością wszędzie, dokąd zajrzy, spotyka się z tymi samymi nadużyciami, tym wyraźniej się okazuje, że zło ma charakter organicznej choroby, świadczącej o rozstroju całego organizmu“.
>
> „Rewizje idą swoją koleją, i jak się zdaje, cykl nowych rozporządzeń, rozszerzających ich kompetencje nie jest jeszcze skończony. Ale jednocześnie rząd wypracował projekt nowego prawa, mającego na celu usunąć „sprzyjający grunt do rozwoju“ przekroczeń służbowych. W memorjale objaśniającym, mówi się bez ogródek, że nowy projekt powstaje dzięki rewizjom z ostatnich czasów, które wykazały itd.“...
>
> Jakże z tym walczyć? Każdy prawnik, który zdał egzamin z prawa państwowego, wie to, co zresztą odpowiada elementarnym wymaganiom zdrowego rozsądku: potrzeba prawidłowej organizacji służby państwowej, realnej, a nie fikcyjnej odpowiedzialności urzędników i surowego obserwowania legalności ze strony organów kierowniczych. Przypominamy np., ile trzeba było daremnych usiłowań, celem wykorzenienia łapownictwa w sądach z przed reformy i jakiż cud dokonał się, kiedy wprowadzono nowe instytucje sądowe. Ale ta droga rzeczywistego odrodzenia kraju jest zamknięta dla gabinetu Stołypina. Rząd idzie w innym kierunku. Chce on oddziałać drogą nowego postrachu i karania nietylko biorących, ale i dających łapówki.
>
> Nie trudno przywrócić prawną odpowiedzialność przekupujących. Nie trzeba nawet tracić czasu na poszukanie we wzorach zagranicznych. Wystarcza zwrócić się do własnego archiwum. I u nas w swoim czasie istniało takie prawo i podlegało przeróżnym modyfikacjom. Ale przy wprowadzaniu ustaw sądowych ich autorzy wskazywali, że przepisy te nietylko nie miały żadnego znaczenia, lecz że były nawet szkodliwe, gdyż odpowiedzialność prawna przekupujących pociąga, jako skutek, niemożliwość ustalenia winy samych łapowników. Na tej zasadzie powyższy przepis był zniesiony, a teraz po półwieku, kiedy rewizje wykazały szerokie rozpowszechnienie łapownictwa, kiedy, mówiąc inaczej, łapówka stała się normą i potrzebne są poważne usiłowania, ażeby z nią walczyć, rząd nie może nic innego wymyślić, prócz wydobycia z archiwum oręża, który pokrył się rdzą wskutek niezdatności.

KRONIKA.

UROCZYSTE POSIEDZENIE AKADEMJI UMIEJĘTNOŚCI W KRAKOWIE. W tych dniach w auli „Collegium Novum” odbyło się pod przewodnictwem prezesa, hr. Stanisława Tarnowskiego, uroczyste doroczne posiedzenie Akademji umiejętności w Krakowie. Uczestniczyło wielu członków miejscowych i zamiejscowych, oraz zaproszonych gości.

Po przedstawieniu przez sekretarza sprawozdania z działalności Akademji w r. z., odczytano nominacje nowych członków.

Członkami czynnymi mianowano:

Stanisława Krzyżanowskiego, historyka, profesora uniwersytetu Jagiellońskiego;

Aleksego Szachmatowa, historyka, profesora języka rosyjskiego na uniwersytecie petersburskim;

Ulrycha Wilamowitza-Mellendorfa, filologa klasycznego, profesora na uniwersytecie berlińskim;

Jakóba Loeba, biologa, profesora w instytucie Rockefellera w Nowym Jorku.

Członkami-korespondentami mianowano:

Kazimierza Nitscha, drofesora filologji słowiańskiej na uniwersytecie Jagiellońskim;

Karola Kadleca, profesora na uniwersytecie czeskim w Pradze;

Kazimierza Twardowskiego, profesora filozofji na uniwersytecie lwowskim;

Antoniego Meilleura, profesora językoznawstwa porównawczego w „College de France” w Paryżu.

Nagrody z fundacji Marczewskiego przyznano, w dziale literatury Bołoz - Antoniewiczowi za dzieło o Grottgerze; w dziale zaś malarstwa — Włodzimierzowi Tetmajerowi.

Nagrody z fundacji Spasowicza — prof. Henrykowi Struvemu za historję logiki w Polsce, oraz prof. Józefowi Tretiakowi za monografję o Bohdanie Zaleskim.

Nagrodę z fundacji Mieczysława hr. Reja: złoty medal i kwotę pieniężną — Henrykowi Sienkiewiczowi za ósme wydanie „Ogniem i mieczem”, oraz całą działalność literacką.

Nagrodę z fundacji Warschauera — profesorowi Popielskiemu zo Lwowa za prace naukowe z zakresu filozofji i patologji.

Nagrodę z fundacji Simona — profesorowi Sierpińskiemu ze Lwowa za prace matematyczne.

STATYSTYKA GUB. WARSZAWSKIEJ. Według sprawozdania gubernatora warszawskiego, w roku 1910 ogólna ludność tej guberni wynosiła około 2,000,000 osób, z tej liczby 300,000 było na emigracji.

Gub. Warszawską utworzono w r. 1844; obecnie posiada 13 miast powiatowych, 8 miast bez powiatu, 45 osad, 5,065 wsi, folwarków 1,894 i innych osad wiejskich 1,135. Ogólna liczba nieruchomości wynosi 130,666, wartości rb. 159,209,520.

Według wyznań katolików było 1,586,769, prawosławnych 11,211, marjawitów 2,337, żydów 227,173,

i mahometan 53; kościołów katolickich znajdowało się 314, kaplic marjawilkich 9, cerkwi 29, zborów ewangielickich 23, synagóg 62.

Różnego rodzaju zakładów naukowych było 600 (przeważnie niższe szkoły), w których kształciło się 31,800 chłopców i 17,000 dziewcząt.

Fabryk i zakładów przemysłowych było 600, z wytwórstwem rocznie na sumę 60,000,000 rb., pracowało w nich 35,000 robotników.

Szosy zajmowały 646 wiorst.

LIST DO REDAKCJI.

Łaskawy Panie Redaktorze!

Wobec umieszczonej w czasopismie Waszym (Nr. 18) wzmianki zatytułowanej „Dziwny pacyfista", a zawierającej błędne szczegóły o „Kijowskim Towarzystwie Przyjaciół Pokoju" i jego prezesie, z powodu nieobecności prezesa, niemieszkającego w Kijowie, uprzejmie upraszam nie odmówić zamieszczeniu na szpaltach „Prawdy" następujących kilku słów sprostowania.

Inicjator, założyciel i prezes „Kijowskiego Tow. Przyjaciół Pokoju" — Hrabia Michał Tyszkiewicz, nie „oszczędza uczuć i sił swych dla niwy ojczystej", ani też nie „należy do arystokracji najmniej dla swego kraju uczynnej". Przeciwnie, jest on jednym z najgorliwszych na Ukrainie działaczów społecznych, bardzo zasłużonym swemu krajowi jako inicjator, przewódca, założyciel i organizator wielu związków społecznych, ekonomicznych i ideowych w najzacniejszym stylu.

Ten widocznie nieznany Redakcji „Prawdy" „pan Michał" jest znanym w Europie, światłym, uczonym literatem. Z dzieł jego dość poznać poważną i źródłową pracę, „Idea demokratyczna" (Kraków, 1904), a pomijając nawet inne historyczne i socjologiczne prace „Pensées sur la democratie et la doctrine socialiste", — by się przekonać, iż nie „ks. pleban mu prowadzi rękę", jak też również i nikt inny.

Ten tak niesłusznie zlekceważony przez „Prawdę" „Dziwny pacyfista", „Pan Michał" — jest nadto znanym w kraju, nie „oszczędzającym", a raczej nad możność hojnym filantropem, podtrzymującym materjalnie i to sowicie cały szereg przedsiębiorstw i związków ideowych, i czasopism, i wydawnictw, i konkursów literackich i t. p. Z jego to rąk „Towarzystwo Sztuk Pięknych" w Warszawie otrzymało dar 18,000 rubli, aby z sumy tej kupić willę na włoskiej ziemi, by w tej willi ofiarować bezpłatnie gościnność polskim (bez różnicy wyznania) artystom, których siły sterane łakną słońca południowego. (Porów. „Kurjer Warszawski" Nr. 133—1901 r.) Z tych też samych szczodrych rąk wyszła w roku zeszłym i ofiara 20,000 rubli na potrzeby ludu rusińskiego i polskiego na Rusi.

Tyle o prezesie. Przechodząc zaś do samego „Kijowskiego Towarzystwa Przyjaciół Pokoju", należy zaznaczyć, iż stowarzyszenie to bynajmniej nie jest „oddziałem" jakiegoś innego „Polskiego Towarzystwa przyjaciół pokoju", a jest zupełnie samodzielnym stowarzyszeniem, które rządzi się wyłącznym dla niego, przez właściwe władze uchwalonym, statutem — jest pierwszym, założonym w Rosji (w Cesarstwie) stowarzyszeniem tego rodzaju, i któremu przysługuje prawo propagandy idei pacyficznej, i pismem i słowem — we wszystkich słowiańskich językach. Stowarzyszenie to nie jest również wyłącznie „polskim", ponieważ do tego stowarzyszenia wchodzą jednakowo przedstawiciele wszystkich narodowości, zamieszkałych w obrębie działalności stowarzyszenia, w tak nazwanych Południowo-Zachodnich prowincjach — właściwie na Ukrainie, Podolu i Wołyniu. W obecnym czasie w skromny ogół „Kijowskiego Tow. Przyjaciół Pokoju" wchodzą członkowie: polacy 38 proc., rosjanie 33, ukraińcy 12 proc., izraelici 15 proc. i cudzoziemcy 2 proc.

„Kijowskie Towarzystwo Przyjaciół Pokoju" nie właściwie też nazywać „jakąś rzeszą pokojową, której przywodzi Pan Michał (?!) z Kijowa". W skład tej „rzeszy" wchodzą: 1 biskup, 7 członków Rady Państwa, 3 byłych członków pierwszej i drugiej. Dumy Państwowej, 5 wojskowych, (w tej liczbie 3 generałów), 7 profesorów miejscowego uniwersytetu i Instytutu Politechnicznego, 27 literatów (w tej liczbie 4 redaktorów pism miejscowych), 12 doktorów medycyny, 10 adwokatów, 5 inżenierów, 3 dyrektorów banków i cały szereg wybitnych pracowników innych swobodnych profesji i znanych działaczy społecznych. Doprawdy, to chyba „jakaś, dość poważna rzesza". A kto i skąd jest ów „pan Michał z Kijowa" o tym się już powiedziało wyżej.

Omówiony we wzmiance „Prawdy" protest „Kijowskiego Tow. Przyjaciół Pokoju" nie zawiera żadnych wyrzutów, a wskazuje tylko na niezgodność z programem pokojowym manifestacji, mających się odbyć „tej jesieni w Rzymie". Protest ten wraz z prezesem stowarzyszenia uchwalili i podpisali członkowie Rady zawiadowczej tego stowarzyszenia, w skład której weszli: prezes Kijowskiego Towarzystwa medycznego, zasłużony profesor Uniwersytetu, prezes Kijowskiego polskiego Towarzystwa lekarskiego, powszechnie znany rosyjski działacz ziemski, poważny pedagog, historyk i dwóch czynnych i jeden były redaktorowie czasopism miejscowych, (podpisani na proteście: czterech są obrządku wschodniego, trzech rz.-katolików i jeden ewangelik). Na nich więc wszystkich należało zwrócić ciętość autora artykułu „Dziwny pacyfista".

Międzynarodowe biuro pokoju w Bernie, — prawdopodobnie „nie zdumiało się otrzymawszy list Hr. Tyszkiewicza" i rzekomą „nielogicznością" tego listu, — bo ten że „lapsus", też poglądy podzielił odbyty niedawno w Brukselli zjazd przedstawicieli międzynarodowej konferencji, międzyparlamentarnych związków pokojowych, doroczny kongres których w roku bieżącym naznaczono w Turynie a nie w Rzymie, — pomimo gorących zaproszeń mera rzymskiego pana Nathana.

Analogiczną uchwałę wydało polskie Towarzystwo literackie we Lwowie i dużo jeszcze innych na Zachodzie związków i stowarzyszeń pokojowych i wogóle ideowych. Jeśli zaś oddział polskiego Stowarzyszenia przyjaciół Pokoju w Krakowie, na wniosek pani Chwatowej „uchwalił wziąć czynny udział w międzynarodowej wystawie pokoju", która odbędzie się w roku bieżącym w Rzymie, to natomiast zamieszkujący w Rzymie polacy artyści odmówili swego udziału w międzynarodowej wystawie sztuk pięknych, pomimo uprzejmych zaproszeń do tej wystawy pana Nathana. Co wystawi na międzynarodowej wystawie w Rzymie Krakowskie Stowarzyszenie Pokojowe, przesądzać nie będę, — w każdym razie tym krakowskim exponatem nie będzie to okaz pokoju miejscowego naszego polskiego Rzymu.

Ograniczając się tylko ściśle do rzeczowych sprostowań, przytoczonych w artykule „Prawdy" błędów, nie wdaję się w dalszą jeszcze polemikę o powadze „plebiscytu". Jak się urządzają plebiscyty i „wola ludu" rzecz wiadoma. Nie wdam się również w polemikę o „władzy świeckiej Papieża" i o „neutralnej pokojowości" pana Nathana „w stosunku do Ojca Św." Są to sprawy, mające do usług bogaty materjał literacki i powszechnie znany.

Otto Glinka.

(Wice-prezes Kijowskiego Towarzystwa Przyjaciół pokoju).

3 /IV, 1911 r., Kijów, Mało-Włodzimierska 24 – 4.

Notatnik wydawniczy.

„Widnokręgów", dwutygodnika poświęconego kulturze polskiej, zeszyt 7—8 wyszedł z druku i zawiera treść następującą: Pamięci Stanisława Brzozowskiego; St. Brzozowski: O maurycym Mochnackim; (z teki pośmiertnej) St. Barącz: Wspomnienie; Dr. Leon Biegeleisen. Socjologiczne podstawy narodowości; Jan Huskowski: Towarzyszowi wędrującemu na brzeg przeciwny; Henryk Bergson: Zdrowy rosądek a nauki klasyczne; Kazimierzy Lewandowski: Idol i Narcyz (Romanca ironiczna); Dr. W. Werner: Z Zagadnień współczesnej fizyki; St. Falkiewizy: Przez Okna Zbójnickie, Na hali Gąsienicowej, Przy pięciu stawach; Herbert Sand: Nieporozumienie romantyzmu. Przegląd społeczny: Chłop jako poseł; Przegląd Prasy: Na Widnokręgu Prawdy i Życia;

OGŁOSZENIA.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb 8,z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50 rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie, oprócz niedziel i świąt, od 12—2 pp.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odbierać w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcji lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencji nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po k. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy lub jego miejsce (strona ogłoszeniowa zawiera 4 szpalty).

Przedpłatę przyjmują: administracja **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism perjodycznych.

Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kjoskach.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 5 pp.

TREŚĆ:

Wydawca **Józef Jabłoński.** Redaktor **Aleksander John.**

Druk K. Kowalewskiego, Warszawa, Mazowiecka 8.